Nr. 5 (1153). Warszawa, 18 (31) Stycznia 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

W sejmie pruskim.

Przez dwa dni. 19 i 20 b. m., rozprawiał ten sejm nad budżetem, a zajmował się głównie Polakami, prowincyami polskiemi i polityką antypolską rządu. Stało się to bez umyślnej interpelacyi, ale nie bez umyślnego przygotowania. W sejmie pruskim żadnych *ad hoc* rozpraw być nie miało, ale mają jeszcze i powinny być w parlamencie Rzeszy. Jeszcze w listopadzie r. z. Koło polskie ułożyło interpelacyę, zjednało dla niej przy poparcin centrum pięćdziesiąt podpisów i wniosło ją do urzędu prezydyalnego. Rozwinięcia i obrony podjął się poseł Dziembowski. Do wniesienia jednak długiego regestru zażaleń, zredagowanego pod kontrolą centrum, nie przyszło w r. 1902; przed samemi świętami prezydyum odroczyło rozprawy do 1903 r. Po zebraniu się parlamentu zapowiadano wytoczenie interpelacyi na 23—25 b. m.; ale i te dni minęły, a o interpelacyi nie słychać. Tymczasem niespodziewanie w sejmie pruskim dał rząd odpowiedź na zapytania postawione w parlamencie Rzeszy. Dla Koła polskiego przygodna choćby walka w ciele przedstawienniczem narodu pruskiego pożądańszą być zawsze powinna od umyślnej w sejmie całego cesarstwa, gdzie nadzwyczaj łatwo jest ministrom wywinąć się niewłaściwością forum.

Środki, przedsiewzięte przez rząd, ciągle „dla obrony zagrożonego na kresach wschodnich niemiectwa,“ wymagają pieniędzy; pieniądze potrzebne musiały wejść do budżetu: budżet więc ujawnił środki i wywołał nad nimi rozprawy. Rozpoczął je — ku wielkiemu zdziwieniu i taktyków i nie-taktyków parlamentarnych — przedstawiciel centrum, Fritzen. Stronnictwo katolickie „mogłoby się na to i owo zgodzić,“ ale nie zgodzi się na całą politykę; uważa ją za szkodliwą raczej, niż pożyteczną dla germanizacyi; od germanizacyi zatem się nie uchyla, jak nie odwraca się i od kultury, której płaszczykiem ministrowie zakrywają nagość swej polityki. Nie podoba się tylko środkowi zamek rezydencyonalny w Poznaniu, nie podobają dodatki dla niższych urzędników i dla nauczycieli ludowych; ośmieszył mówca mieszkania dla nauczycieli gimnazyalnych, mających utrzymywać cielętniki do niańczenia dzieci polskich. Zganił wreszcie Fritzen rząd za wtłaczanie dzieciom na Śląsku katechizmu mową niemiecką. Oprócz tego mówcy było dwóch jeszcze, zapowiadających rządowi opór częściowy przynajmniej: Wiemer z „Volkspartei“ i Ehlersz „Freisinnige Vereinigung.“ Obaj przemawiali w imieniu swych stronnictw. Pierwszy nie zgadza się na dopłaty urzędnicze, na rezydencyę poznańską i na garnizony po miastach; drugi pragnie, aby prowincye polskie stały się niemieckiemi, ale widzi, że rząd, walcząc z Polakami, godzi i w liberalizm, a to już mniej się podoba stronnictwu Ehlersa. Wynagradzanie urzędników za gorliwe spełnianie obowiązków jest i niebezpieczne i nierozumne. Wreszcie zdaje się mówcy, że komisya kolonizacyjna nie umiała się należycie z zadań swych wywiązać.

Oto są już wszyscy przyjaciele Polaków, a przynajmniej ułamkowi przeciwnicy rządu, ganiący choć w części jego politykę i jego środki polityczne w W. Ks. Poznańskiem i Prusiech Zachodnich. P. Bülow dla najpierwszego z nich znalazł, i słusznie, słowa pochwały za objektywizm; innymi nawet się nie zajmował. Pilno mu było stwierdzić, że jak przed rokiem, tak i teraz nie potrzeba środków represyjnych; wystarczą „kulturalne,“ a więc: kolonizowanie Niemców, wytworzenie własności niemieckiej mocnej i wytrzymałej, i stanu średniego niemieckiego, któryby czuł swą siłę, dodatki dla niemieckich urzędników i nauczycieli, lokale na niemieckie pensyonaty gimnazyalne, niemieckie garnizony po miastach, niemieckie seminarya nauczycielskie, środki komunikacyjne, które już same przez się niemieckimi być nie mogą, i wreszcie opieka nad idealnemi dobrami, oczywiście Niemców, do prowincyi należących. I to wszystko dziać się ma i urzeczywistniać pod firmą ogólno-ludzkiej kultury, bez cienia represyi, bez wyłączności germanizacyjnej i za pieniądze tego samego żywiołu, przeciwko któremu wszystkie te działa kulturalne wytoczono! Niezawodnymi rozsadnikami kultury i obrońcami dóbr idealnych niemieckich będą garnizony, dotychczas już osadzone w Śremie i Wrześni. Ministrowie nie umieli się jednak utrzymać długo w rolach fałszerzy: prawda zamysłów sama z ich retoryki wytrysnęła. P. Bülow spodziewa się z drzewa kolonizacyi owoców zniemczenia, a cel wszystkich środków wskazuje, nie w kulturze, ale w wynarodowieniu. Obie prowincye muszą się stać „na zawsze prawdziwie pruskiemi i prawdziwie niemieckiemi.“

Bülow był przynajmniej przyzwoitym w formie, ale taki Rheinhaben, minister skarbu, walił posłów polskich, jak ongi żaków, dyscypliną. Jegomość ten grzmiał groźbami i kłamał jękami. „My się tylko bronimy!“ — wołał. Bronią się zwłaszcza od zuchwałej prasy polskiej. Mogliby ją powściągnąć posłowie polscy. „Wtedy dopiero — rzekł zwrócony do Koła — będziecie mogli się tu pokazać, nie wcześ-

niej!“ Ryki radości niemieckiej zagłuszyły lękliwy głos polski. W fałszowaniu historyi dopomógł Rheinhabenowi minister sprawiedliwości, Hammerstein, broniąc „Ostmarkenvereinu“ — hakaty.

Jedynym mówcą polskim w dwudniowych rozprawach był ks. Jażdżewski. Jego mowa to dziwna plecionka rzeczy potrzebnych, zbytecznych, niestosownych i szkodliwych. Miał słuszność, gdy przypominał patent z 15 maja 1815 r., gdy kłół oczy dzisiejszych ministrów słowami samego króla, pochwalnemi dla Polaków, gdy wykazywał gnębienie jednej części ludności dla drugiej, gdy piętnował krzywdę prześladowania z pomocą funduszów samym prześladowanym wydzieranych. Ale nie powinien był sam prasy polskiej o gwałtowność oskarżać, nie miał prawa kuć argumentu przeciw rządowi ze smutnego faktu uprzejmości, okazywanej w Poznańskiem pachołkom ministeryalnym. I Boga też niepotrzebnie zupełnie w retorstwo swe wciągnął.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Bowen prowadzi już od 23 b. m. z posłami Anglii, Niemiec i Włoch w Waszyngtonie układy, którym telegraf wróży szczęśliwy koniec jeszcze w styczniu. Zgodę opóźniają Niemcy uporem w blokadzie, wymaganiem rękojmi i wyższego procentu z ceł. Niemcy już i blokadę samą rozszerzają do rozmiarów wojny, po flibustyersku prowadzonej. Niedość im było zatopić na samym początku statki wenezuelskie, niedość wciskać się w zatokę Maracaibo: „Vineta“ i owa „Pantera,“ poturbowana już w d. 17 b. m., zrobiły umyślną wyprawę dla zburzenia fortu S. Carlos i w d. 21—23 spełniły okrucieństwo zniszczenia całej osady ludzkiej, zupełnie niewinnej, przyczem w części zburzyły i fort. Aż dwu dni potrzebowała artylerya niemiecka na osiągnięcie celu, gdyż z 1,600 pocisków tylko 600 było celnych: próba dla Anglii wcale pożądana. Zdaje się, że polityka rzeczowa ministrów angielskich zaczyna mieć przewagę nad familijną polityką Edwarda VII, a w polityce ministeryalnej zjawiają się nareszcie rozsądek i instynkt. Prawdopodobnie Niemcy już dzisiaj w układach o pokój są odosobnione, a upór ich podrażni tylko Amerykę; sprawa wtedy mogłaby się zaognić. — Powstańcy wenezuelscy nie przestają uprawiać podłego swego rzemiosła; nawet jeden z tych łobuzów odniósł przewagę nad wojskiem rządowem. Castro nie schodzi z drogi obowiązku. Blokada miała być zniesiona we czwartek.

Ugoda niemiecko-czeska od d. 20 b. m. należy już do przeszłości. Gdy Paczak oświadczył, że projekt rządowy uniemożliwia układy i wyłuszczył żądania czeskie, zaraz Eppinger oznajmił, że na takiej podstawie Niemcy układać się nie będą; konferencye zerwano.

D. 27 b. m. w obu ciałach prawodawczych Austro-Węgier wniesiono projekty ugody zasadniczej 10-letniej, wypunktowanej w ostatnim dniu roku przez ministrów kierujących. W Wiedniu znowu obstrukcya sejmowa. Większość chce zmienić regulamin.

Chamberlain objeżdża nową prowincyę angielską i zalewa ją mowami, rezonowaniem i wieszczbiarstwem politycznem, do którego natchnienie daje mu balon z przywiezionem do Transwalu powietrzem angielskiem. Delarey i Botha wołają na swych rodaków, aby byli dobrymi obywatelami angielskimi; gotowi są nawet przywieźć napowrót do Afryki owe skarby krügerowskie, o które tak się dopominał Chamberlain. Albo podstęp, albo kazanie pastora Dienera.

Jaurès prezydował już w Izbie, miał też d. 23 b. m. wielką mowę polityczną: Przez 31 lat Francya spokojna była od Niemców i spokojną na przyszłość być może, nawet bez przymierza. Ubiegła już przeszłość dała jej wielki rozwój kolonialny i pozwoliła odzyskać stanowisko wielkiego mocarstwa. Teraz Francya kroczyć powinna drogą wewnętrznego rozwoju. Pokój powszechny będzie wypadkową przymierzy, a taki pokój da i Francyi szczęście. Dnia 26 b. m. Combes naraził się w Izbie radykalnym i socyalistom wyznaniem wiary w ducha i orzeczeniem, że idea religijna jest dla ludzkości jedną z najpotężniejszych dźwigni moralnych. Chodziło o budżet wyznań i konkordat. Oba utrzymano (328—201).

W parlamencie niemieckim, gdy d. 20 b. m. Vollmar chciał mówić o nauce moralnej, danej przez Wilhelma II w Essen, prezydent Ballestrem odebrał mu głos. Nawet w Niemczech, nawet w zachowawcach, ściągnął na siebie naganę, po której podał się d. 22 b. m. do dymisyi. Cesarz pocieszył go dziedzicznem parostwem pruskiem.

Znakomitą mowę z powodu znanej depeszy cesarza do księcia Luitpolda bawarskiego powiedział d. 20 b. m. w sejmie Rzeszy Schädler. Wiele już, że pozwolono mu ją wygłosić.

Stany Zjednoczone zawarły z Kolumbią układ o kanał panamski. Terytoryum będzie neutralnem, pod strażą Stanów. — Kongres wszechamerykański, w Nowym Yorku, w sprawie ceł zebrany, zażądał rozciągnięcia doktryny Monroe'a i na stosunki ekonomiczne.

Król szwedzki chory, zdał rządy następcy tronu.

Następca tronu niemieckiego powróc 27 b. m. z Petesburga do Potsdamu.

— W nr. 26 *Kuryera Warszawskiego*, w artykule „O czem mówią,“ czytamy:

„Według urzędowych notatek stenograficznych, ks. prałat Jażdżewski takie w swej mowie etatowej wygłosił opinie:

„Przyznaję, co zresztą uczyniłem już niejednokrotnie, że nie godzę się bynajmniej na posunięte zbyt daleko w swej formie i treści uwagi naszej prasy polskiej. Jestem nawet przekonany, że taką metodą walki prasa polska, mianowicie ta, która przeznaczona jest dla kół ludowych, *wyrządza wielką szkodę polskości. Większą część nieprzychylnych dla nas rozporządzeń władzy państwowej wprost zawdzięczamy zaczepkom prasy, skierowanym przeciwko ustawom państwa i poszczególnym członkom rządu...* Skutki jej nieoględnego postępowania my najlepiej potrafimy ocenić.“

A więc, gdyby ton prasy polskiej był łagodniejszy, nie byłoby w W. Ks. Poznańskiem ani komisyi kolonizacyjnej, ani szykan pocztowych, ani rozwiązywania polskich zebrań i stowarzyszeń, ani bojkotu urzędników polskich itd. Zaiste, to przypomina mi, że, po bankructwie prusko-polskiego romansu, jeden z posłów poznańskich zapewniał mnie z całą powagą, że wszystko byłoby inaczej, gdyby *Goniec Wielkopolski* i *Orędownik* nie ogłaszały artykułów napastniczych na rząd i zachowywały się przyzwoiciej.

Gdyby takie zdanie wygłosił gdzieś na bibce szlacheckiej jaki politykujący Fafuła z Psiej

---

Instytucye stręczenia pracy

W BERLINIE.

Mamy pół do 9-ej rano. Przed małem okienkiem, po drugiej stronie przegrodzenia, w wielkiej izbie staje mężczyzna i patrzy niepewnym wzrokiem. Urzędnik odkłada dziennik, który czytał i pyta:

— Czego potrzebujecie?

— Pracy!

— Pracy? — powtarza urzędnik cokolwiek zdumiony. Czerwona wstążeczka w dziurce od guzika i wojskowa zwięzłość świadczą, że to żołnierz wysłużony. Nie okazuje jednak zniecierpliwienia, lecz powtarza znowu;

— Pracy? Oto kartka wpisowa, za którą trzeba zapłacić 20 fenigów. A pracę dostaniecie, gdy się znajdzie. Teraz o nią bardzo trudno: popatrzcie, ilu tam już siedzi.

Biedny człowiek, który widocznie przyszedł tu po raz pierwszy, przestępuje zmieszany z nogi na nogę, mamrocze jakieś niezrozumiałe wyrazy i zwraca się do wyjścia. W parę minut u okienka zastępuje go inny. Ten wie już, jak się zapisać: przedstawia swoją książeczkę roboczą, wymienia rodzaj ostatniego zajęcia, po którem został się bez pracy i za 20 fenigów dostaje kartę wejścia.

Tak się rzeczy mają w centralnem biurze stręczenia pracy w Berlinie.

Siedzimy w samym środku, w maleńkiej, ścianami szklanemi ogrodzonej izdebce dla urzędników i spoglądamy w głąb wielkiej hali, przeznaczonej wyłącznie dla dorosłych, poszukujących pracy a nieposiadających żadnego fachowego uzdolnienia. Czekamy na pana inspektora, który obiecał uprzejmie oprowadzić nas po nowym, przed paru miesiącami wzniesionym domu berlińskiego Związku stręczenia pracy; słuchając i przyglądając się wszystkiemu, zaznajamiamy się tymczasem z naturą prowadzonej czynności. Biedak, który sobie wyobrażał, że dość mu stanąć przed okienkiem, aby dostać pracę, nie wiedział, że biuro stręczeń w rzeczywistości wygląda zupełnie inaczej. Tu przedewszystkiem trzeba się nauczyć *czekać*; naprzód zapisać się, potem otrzymać kartę wejścia, a następnie w olbrzymiej, więcej niż tysiąc osób mogącej pomieścić, hali zająć miejsce obok woźniców, najemników, nieznających żadnego rzemiosła, lub „starszych wyrobników,“ którzy zależnie od tego, jak dawno na zajęcie czekają, podzieleni są na różne grupy. Taka karta wejścia służy na trzy miesiące. *Czekanie* jest tu do pewnego stopnia zorganizowane, i to tak dobrze zorganizowane, że możnaby zapomnieć o najważniejszej rzeczy: o tem, jak i kiedy przybywają poszukujący miejsca.

W pokoju urzędniczym rozlega się dzwonek telefonu. Siedzący przy zapisującym drugi urzędnik odkłada *Vorwärts*, który czytał i podchodzi do aparatu.

— Kto tam? — pyta. — A, pan potrzebuje robotników? Dobrze... pięciu... Do jakiej roboty?.. Budowa domu... Culmbacherstrasse... tam będą zgodzeni... dobrze!..

Zapisuje zamówienie i wychodzi na salę, o tej wczesnej godzinie zimowego ranka dość słabo oświetlonej światłem wpadającem z góry, przez dach szklany. W jednej chwili otacza go gromada ludzi, którzy, z pośród siedzących spokojnie, rzędami na ławce, porwali się na jego widok. Urzędnik zmuszony jest literalnie bronić się łokciami, każdy z nich bowiem ma nadzieję, że teraz na niego przyszła kolej; ale kiedy z pośród wielu podsuwanych kart wybrano pięć—tylko pięć—wówczas inni rozchodzą się i milkną. Wybrani u właściwego okienka otrzymują karty, z którémi mają się stawić u zamawiającego, a jeśli umowa nie zostanie zawartą, albo na bardzo krótko, to zapis ich w biurze utrzymuje się w dalszej mocy, i dostają znowu u innego okienka swoje dawne karty wejścia.

W ten sposób pięć szóstych wszelkich zamówień, jak mię objaśnił tylko co przybyły inspektor, przybywa drogą telefoniczną; w tym celu po wszystkich oddziałach, licznie rozgałęzionej budowli przeprowa-

Wólki, nie zdziwiłbym się może mądrości domorosłej, ale dyplomata, wyrażający publicznie przekonanie, że artykuły gazet polskich mogły wywołać hakatyzm rządowy, że gdyby ton dzienników ludowych był inny, to państwo pruskie wyrzekłoby się polityki antypolskiej, to, zaiste, zdumiewający okaz rozumu politycznego.

Trudno! od obecnego Koła polskiego żadnej zmiany tonu spodziewać się nie można. Ci ludzie wyrośli w tradycyach dyplomatyzowania i nie mogą, pomimo najszczerszej chęci, nagiąć się do innego tonu, choć, wobec nowej sytuacyi politycznej, uznają w zasadzie potrzebę zerwania z dawną metodą walki parlamentarnej. I dlatego przynajmniej połowa posłów obecnych powinnaby przenieść się koniecznie w stan zasłużonego odpoczynku. Społeczeństwo poznańskie odczuwa to doskonale, lecz nie ma odwagi powiedzieć tego wyraźnie, a kto wie, czy nawet w chwili rozstrzygającej, przy nowych wyborach, znajdzie dość stanowczości, aby świeże siły do Koła polskiego wprowadzić.“

ŻYCIE SPOŁECZNE.

„BAGNO.“

(Dokończenie).

Chciwość na grosz, chęć wyzysku, pieniactwo — oto pierwszy skutek zetknięcia się cywilizacyi z ludem zakopiańskim; a drugi — to pijaństwo. Przyjezdni nie umieli inaczej ugościć górala, czy to gospodarza domu, czy woźnicę, czy wreszcie przewodnika, jak wódką, piwem, a nawet winem, o którego istnieniu przedtem może nawet nie słyszał. Zaprawiwszy się na pańskich trunkach i zarabiając dużo pieniędzy, zaczął potem pić i upijać się za własny grosz, zwłaszcza że od czasu nabycia Zakopanego przez p. Zamojskiego ilość karczem znakomicie wzrosła i obecnie sposobności do wypicia, jako też do upicia się jest na każdym kroku sporo. „Ślubowanych od wódki“ znajduje się w Zakopanem niewielu, ale i ci piwo lub wino pijają obficie; ogół zaś truje się i niszczy fizycznie oraz moralnie. Ze wzrostem dobrobytu byłoby pijaństwo wkroczyło samo w granice Zakopanego, ale nie ulega wątpliwości, że zły przykład, dany przez gości, przyczynił się do przyspieszenia tej klęski i do jej wzmożenia. Dzięki osłabieniu się odporności organizmu górale zakopiańscy, pomimo stałego przebywania w znakomitych warunkach:, zaczynają się zarażać gruźlicą. Ale dr. Chramiec, choć lekarz, nie wie o tem i zamiast przeciwdziałać opilstwu, przyczynia się jeszcze do jego zwiększenia, zwłaszcza wtedy, gdy się ubiega o głosy swych braci przy jakichkolwiek wyborach, a zdarza się to dosyć często, ponieważ jest on chronicznym kandydatem na wszystkie godności gminne lub powiatowe, nie wykluczając poselskiej, której, pomimo wyczęstowania wielu antałków piwa i wielu butelek wódki, nie osiągnął.

Za pośrednictwem butelki zaczęła wyrabiać się pomiędzy gościem a góralem sztuczna i niezdrowa kamraderya, która szczególnej wśród młodzieży płci obojga niesympatyczne, a w końcu wprost zdrożne przybrała formy. Między letnikami znajdował się oczywiście spory zastęp młodzieży zarówno z Warszawy, jak i z Krakowa, którzy oprócz turystyki uprawiali jeszcze inny sport, przeszczepiony z bruku miejskiego na dziewiczy grunt Zakopanego. Pełni fantazyi młodzieńcy związali się w klub „dzikich z nad rzeki Mississipi“ (właściwie nazwę tej rzeki wymawiano inaczej, nieprzyzwoicie), który na swych zgromadzeniach „palił fajkę pokoju“ i obmyślał różne wyprawy wojenne, mające głównie na celu zdobywanie „białych kobiet,“ zawsze ponętnych dla tych nowego typu czerwonoskórych. Sposobności do poznania się z niemi było sporo: nastręczały ją co niedziela wieczorem zabawy w spalonem dzisiaj kasynie Towarzystwa tatrzańskiego, które posiadało nietylko doskonałą salę do tańca, ale i obszerną werandę okolną. Otóż na tej to werandzie gromadziła się przez ciekawość znaczna ilość „białych kobiet,“ zarówno znajdujących się w służbie u „państwa,“ jako też i góralek; tutaj to nasi czerwonoskórzy zbierali się tłumnie po to, by „skupść żywe mięso“ (skupść w gwarze zakopiańskiej znaczy skubać) i zawierać różne tranzakcye miłosne. Weranda owa była zwykle szczelnie zatłoczona przez amatorów „żywego mięsa,“ którzy z dziwną lekkomyślnością i karygodnem zuchwalstwem wsączali w owe „białe kobiety“ swą iście czerwonoskórą zarazę fizyczną i moralną. Innej sposobności do owych bohaterskich wypraw dzikich z „nad rzeki Missisipi“ dostarczały weseliska góralskie, urządzane często w sezonie letnim dla kilku „papierków,“ jakie zaproszeni goście z miasta ciskali na czepiec lub do basów „dla muziki.“ Dzięki szlachetnemu „klubowi“ owe weseliska góralskie zmieniały się w istne psie wesela, w których czerwone skóry z białemi w ścisłe wchodziły zetknięcie. Ale nie koniec na tem, bo oto wśród owych dzikich znajdowali się i panowie obdarzeni fantazyą poetycką, której wieś nie wystarczała. Ci organizowali specyalne wyprawy przy blasku księżyca na bliższe i dalsze hale i połoniny, gdzie ofiarą nienasyconych pożądań padały juhaski, przekładające umizgi gości i panów nad brudnych i cuchnących juhasów. Słowem, zaraza fizyczna i moralna objęła nietylko Zakopane, ale i Tatry całe, rozlewając się szerokim strumieniem i szerząc straszne zaiste spustoszenie. Trudno przypuścić, aby najazd prawdziwych czerwonoskórych mógł przynieść ludności góralskiej większą krzywdę nad tę, jaką sprawili w swej młodzieńczej nieoględności owi farbowani czerwonoskórzy warszawscy i krakowscy, którzy pierwsi jako zasobniejsi drogę do zdrożnego sportu wskazali. Dzisiaj czasy bohaterskie już bezpowrotnie minęły i fantazya gdzieś się ulotniła, ale zło pozostało i zmieniło się na zwykłą prozę, która stała się prawidłem i nikogo już nie razi.

Do tej wielkiej sumy złego, przybyło jeszcze jedno wysoce znamienne, polegające na tem, że „białe kobiety“ miejskie uprawiają flirt z góralami, których uważają za równie ponętnych dla siebie, jak gdyby byli co najmniej Aszantami. Różne sentymentalne i nieumiejące szanować się gęsi i gąski mizdrzą się do Jaśków, Wojtków i Bartków, ubiegając się o ich łatwe zresztą do zdobycia względy i przewracając im w głowach w bardzo skuteczny sposób. Dzięki temu obłędowi wytworzyła się w Zakopanem klasa miejscowych Don Juanów, uprawiających flirt z pannami miejskiemi jako sport, i powstała nawet mała kro-

---

dzone są druty, które w celi odźwiernego mają jedno centralne połączenie. Daleko rzadziej zamawiający przybywa osobiście rozmówić się i ułożyć, objaśnia nas uprzejmy cicerone. Ale właśnie w tej samei chwili wchodzi młoda dziewczyna i przedstawia się urzędnikowi.

— Potrzebuję robotnika.

Z głębi sali wywołują trzech ludzi. Młoda dziewczyna przypatruje się im badawczo i mówi do pierwszego z zakłopotaniem, uśmiechając się grzecznie: — Wy, jesteście za słabi — Młody, wynędzniały człowiek odpowiada jej uśmiechem, zmieszany także i zawstydzony, zawiedziony widocznie, usuwa się. Dziewczyna zwraca się do drugiego, ten jej pokazuje swoje świadectwa i wychodzi z nią.

Tymczasem sala wciąż się zapełnia przybywającymi, którzy karty wejścia już mają i przychodzą powiększyć szeregi czekających. Znajdują tu przynajmniej ciepłe i gościnne schronienie, gdzie z towarzyszami mogą się naradzać, i gdzie obecność urzędników, którzy pragną szczerze każdemu z nich pomoc, miejsce wynaleźć, także otuchy im dodaje. Niewłaściwie porównywają te zakłady i działalność ich z giełdą pracy. To, czego niema paryska giełda i brukselski „Maison du peuple“ to stworzył Berlin przez zebranie i uwidocznienie w jednem miejscu wszystkich braków na rynku pracy. Wiedzą to dobrze sami robotnicy — i przez taką organizacyę czują się w swojej niedoli moralnie podniesieni. Wszyscy oni po większej części nie robią wrażenia bardzo przygnębionych; chodząc po salach, spotyka się dość ufne wejrzenia. W bufecie można dostać chleba i piwa za bardzo przystępną cenę, jest pełno czasopism, które są zawsze w oblężeniu. Związek wyznaczył też niedawno dwóch robotników, którzy za dziesięć fenigów naprawiają każdemu odzież i buty. Prócz tego urządzono oddzielną izbę na wypadek choroby wśród publiczności. Atmosfera zakładu pod każdym przeto względem daje wrażenie ufności i ciepła. Hala przez cały dzień, aż do godz. 4-ej popołudniu jest przepełniona, o tej zaś porze na ulicach Berlina zaczynają roznosić miejscowy dziennik ogłoszeń „Rynek pracy,“ który ludzi wywabia na miasto.

Wzniesienie tych domów, zbudowanych przez Towarzystwo ziemskie ubezpieczeń, a przez Związek stręczenia pracy dzierżawionych przy poparciu gminy miejskiej, dającej 20 tysięcy marek rocznej zapomogi, odznacza się taką praktycznością i udatnością, jakie przystoją tym trzem bogatym towarzystwom. Ich przedstawiciel, jednocześnie dyrektor instytucyi stręczenia pracy, dr. Freund wykazał w tem zupełnie nowem dziele tyle energii i dobrego smaku, jak rzadko widzieć się daje. Na pierwszem piętrze znajduje się mniejsza sala, przeznaczona dla młodzieży, poszukującej zajęcia. Siedzą tu oni na ławkach, jak w szkole, a urzędnik niby nauczyciel stoi przed nimi u swego pulpitu i zapisuje. Dla młodzieży takie pośrednictwo ma daleko donioślejsze znaczenie, niż dla dorosłych. Tu w tej sali, otrzymuje ona, która może włóczyłaby się po ulicy, błogosławieństwo dobrych podstaw na całe życie. W dalszej wędrówce po domu natrafiamy na wybornie urządzone łazienki, gdzie pozbawieni zajęcia za 5 fenigów kąpiel otrzymać mogą.

W innej części olbrzymiego gmachu znaduje się oddział dla robotnic w którym oczekujących widzimy zdumiewająco mało. Tu jest także tak zwany oddział trzeci, w którym towarzystwo pośrednictwa w pracy zawodowej utrzymuje cztery sale dla czterech rzemiosł: malarzy, tapicerów, ślusarzy, praczy i prasowaczy. To pośrednictwo w pracy zawodowej nie jest żadną nowością, istniało ono zdawna w domach cechów i bractw rzemieślniczych, gdzie czeladnik dowiadywał się o zapotrzebowaniu u majstra. Centralny związek stręczenia pracy pragnie skłonić te bractwa do przystąpienia do swej wydoskonalonej organizacyi. A ponieważ zostawia im zupełną samodzielność, każdemu rzemiosłu naznacza jednego czeladnika i jednego majstra, jako przewodniczących i zarządzających, przeto można spodziewać się, że to wkrótce nastąpi.

(z *Frankf. Zeit.*)

niczka skandaliczna, która opowiada wiele ciekawych rzeczy o tych pseudo-miłosnych sprawach. Panny miejskie zapraszają tych wiejskich dandysów na herbatki do domu, prowadzą ich na poczęstunek do cukierni, fotografują się z nimi w najczulszych i zarazem najgłupszych pozach i nie kryją się z tem wcale, a wrazie choroby którego z tych błaznów odwiedzają go w domu, pełnią na wyścigi dyżury, znoszą łakocie i tak dalej, wreszcie nawet sprowadzają do Warszawy, goszczą u siebie w domu, dopuszczając do całkowitej poufałości. Nietrudno pojąć, jak bardzo ujemny wpływ na serca i charaktery górali musi wywierać podobne zachowanie się panien miejskich, które nie chciały pozostać w tyle poza paniczami i skoro tamci popsuli góralki, one postanowiły popsuć górali. Dzięki temu, jakoteż i innym podniecającym wpływom powietrza górskiego, wytworzyła się w ostatnich czasach atmosfera pewnej, daleko posuniętej swobody towarzyskiej wogóle, a że Warszawiacy są ludźmi dowcipnymi i ciętymi, więc nic dziwnego, iż ostatniego sezonu letniego obiegała wiadomość, że pewien student medycyny, pytany na egzaminie z balneologii o różne zakłady krajowe, miał po wyliczeniu wielu dodać w końcu: „Zaznaczyć jeszcze wypada, iż w Zakopanem istnieje zakład leczący na bezdzietność.“

Tak oto zabawia się Warszawa podczas lata u stóp starego Gewontu ku szkodzie żywiołu miejscowego, już gruntownie zepsutego, fizycznie i moralnie zarażonego. Czy wobec tego można się dziwić, iż góral jest znieprawiony, że sobie gościa za nic nie ma i traktuje go z lekceważeniem, skoro w jednej izbie pan smali koperczaki do góralki, a w drugiej pani lub panna wdzięczy się do górala? Dziś ten ostatni rozzuchwalił się i nie zmieni swego stanowiska, dopóki nie poczuje, że i gość zmienił swoje postępowanie. Znam Zakopane od r. 1881, bo jeździłem tam co lato z małą tylko przerwą, a ostatnio mieszkałem dwa lata, nie ruszając się krokiem ze wsi i wiem z własnego doświadczenia, że gdy się gość postawi wobec górala w sposób należyty, to znaczy przyjacielski, ale nie zbytnio poufały i nie zdrożny, to stosunek zawiązuje się bardzo miły i bardzo właściwy. W przeciwnym razie góral staje się istotnie bardzo uprzykrzony, nawet wprost nieznośny, a to tem więcej im więcej potrafił zrzucić z siebie skórę góralską a przywdziać miejską.

Po tem wyjaśnieniu łatwo zaiste zrozumieć, dlaczego walka między dr. Chramcem a dr. Janiszewskim tak bezprzykładnie wstrętne i niekulturalne przybrała formy. W chwili pisania artykułu otrzymałem wiadomość, iż dr. Chramiec, zainterpelowany przez radnego prof. Rutkowskiego, jakie stanowisko postanowił zająć wobec „Bagna“ napisanego przez Stanisława Witkiewicza, odparł, iż milczenie jego jest właśnie odpowiedzią i zwrócił przytem uwagę, że interpelować wolno tylko w sprawach gminnych, a nie osobistych. Radny prof. Rutkowski zaznaczył, że wójt należy do gminy i oświadczył, iż wobec tego zmuszony będzie w zachowaniu się swojem względem p. Chramca pójść śladem dr. Wojczyńskiego (tj. zerwać z nim wszelkie stosunki). Taki wójt to wprost plaga, i dlatego też należy mieć nadzieję, iż jeżdżący do Zakopanego zechcą uczynić wszystko, co w ich mocy, aby przez lekkomyślne postępowanie nie pogarszać istniejącego zła, że postarają się przyczynić do wysuszenia bagna i do ubezwładnienia jednostek, które je tworzą lub podtrzymują.

Wojciech Szukiewicz.

Ostrożnie z ogniem.

(Nadesłane).

—•—

Wszak my nie chowamy światła pod korcem“ — piszą w *Kuryerze Warszaw.* pp. Izydor Jasinowski, dr. S. Mintz, Julian Kohn, A. Kleinerman, dr. N. Dawidson i N. Sokołow — tutejsi firmowi przedstawiciele *exodusu* żydowskiego. Broń Boże, takiego zarzutu stawiać im nie można. Tylko gdy ktoś od tego syonistycznego światła zapali kilka kaganków lub szczepek, ażeby lepiej rozjaśnić wnętrze przygotowywanych do wędrówki namiotów, natychmiast oblubieńcy Syonu wołają: „To fałszywe światło — nie nasze!“

Według przytoczonego źródła i wymienionych stróżów jego czystości, wiarogodne hasło „wyjścia“ brzmi tak: „My odrzucamy asymilacyę, prowadzącą, podług nas, niechybnie do samounicestwienia i odszczepieństwa narodowego, natomiast zgodne współżycie z rdzenną ludnością kraju, z *naszego* punktu widzenia, jest nietylko możliwe, ale wielce pożądane i konieczne.“ Wierzymy najzupełniej. Gdyby mi chrabąszcz złożył pod powieką jajko, z którego przez lat kilka wylągłby się i wyfrunął jego potomek, również mógłby słusznie powiedzieć: „z *mojego* stanowiska zgodne współżycie z tobą jest wielce pożądane i konieczne.“ Dobrze — odrzekłbym mu — ale z *mojego* stanowiska to zgodne współżycie nie jest ani koniecznem, ani pożądanem, bo twój pędrak zje mi oko. Chrabąszcz odparłby może, iż go moje oko nic a nic nie obchodzi, przyznałby mi jednak słuszność. Tymczasem syoniści nietylko nie chcą jej przyznać, ale usiłują w nas wmówić, że wyosobnienie się Żydów, wzmacnianie ich odrębności narodowej, przecięcie procesu asymilacyi, wyzyskiwanie miejsca, społeczeństwa i warunków chwilowego pobytu w celach zamierzonego wychodźstwa i na rachunek przyszłej ich samodzielności — nam również „przyniesie korzyść.“ Nie było jeszcze przykładu w historyi, ażeby żywioł obcy, niezrosły i broniący się upodobnieniu w łonie jakiegoś społeczeństwa, był dlań pożytecznym. Dopiero takiego dowodu mają u nas dostarczyć syoniści. A proszę zważyć, że tu nie chodzi o szczyptę drobnych pesteczek poziomkowych, które tkwią niestrawione w organizmie, nie zagrażając mu chorobą, ale o wielki kłębek soliterów. Inaczej sprawa ta wygląda w Paryżu, gdzie jest 1%, lub w Petersburgu, gdzie jest 2%, lub w Hamburgu, gdzie jest 3% izraelitów, *nb.* zasymilowanych, a inaczej w Warszawie, gdzie na 100 mieszkańców przypada 32 Żydów. Gdyby Noe, zbudowawszy swoją arkę, rzekł do potopu: ja nie myślę twoich wód wypijać, pragnę tylko na nich ocalić załogę mojego korabia — mówiłby prawdę. Ale arka na wodach, to nie żywy naród w żywym odmiennym narodzie. Przypuśćmy naprzód, że ów „naród żydowski“ kiedyś, kiedyś wysunie się ze swego futerału polskiego — jak on zachowa się wobec niego? Ponieważ nasze domniemanie mogłoby być błędnem, a syoniści zapewniają, że będą się starali przechowywać śród swojego ludu „tradycye narodowo-hebrajskie,“ więc zobaczmy, jaką on ma w tych tradycyach wskazówkę dla takich wypadków: Przed wyjściem z Egiptu dano im taką naukę: „I stanie się, gdy wychodzić będziecie, że nie wynijdziecie próżni. Ale wypożyczy niewiasta u sąsiady swoiey, i u gospodyni domu swego, naczynia srebrnego, i naczynia złotego, i szat; i włożycie je na syny wasze, i na córki wasze, i złupicie Egipt (2 *Mojż.* III). Tedy synowie izraelscy uczynili według rozkazania Mojżeszowego (XII).“ Byłoby to naturalne rozstanie po „zgodnem współżyciu.“

Przypuśćmy teraz — co jest prawdopodobniejszem — że ów *exodus* nigdy nie nastąpi. Wtedy proszę sobie wyobrazić „korzyści“ społeczeństwa, które, jak nasze, nieprzerwanie, w ciągu niezamkniętego szeregu lat posiadać będzie w sobie milionowy naród obcy, kulturalnie i rasowo odmienny, ustawicznie umacniany i podniecany w swej odrębności, roznamiętniany nadzieją powrotu do własnej ojczyzny i czytający „tradycye“ swego wyzwolenia. Jeśli ktoś utrzymuje, że takie społeczeństwo może „zgodnie współistnieć“ z takimi gośćmi, ten osiągnął szczyt albo naiwności, albo...

Mniejsza zresztą o ten rekord. Ważniejszem od niego jest niebezpieczeństwo uwijania się z ogniem śród materyałów palnych. Syoniści mogą lekceważyć sobie wynik asymilacyi, tj. ogromny zastęp Żydów spolszczonych, dzielnych obywateli kraju, których wszyscy szanujemy, a nikt o ich pochodzeniu i wyznaniu nie pamięta. Ale nie powinni lekceważyć nieuniknionych skutków swojej propagandy, mianowicie wzmożenia się nienawiści przeciwko Żydom i przeniesienia się jej nawet do tych sfer, które od niej dotychczas były wolne. Antysyonizm szybko zamieni się na antysemityzm tem łatwiej, że dążność obronna i odporna społeczeństwa może rozporządzać tylko środkami opinii publicznej. W tę opinię syoniści pełnemi garściami rzucają zaczyny drażniącego fermentu, który bodajby tylko skończył się odwetem uczuć. W Anglii, Francyi, Niemczech, Włoszech, gdzie Żydami rzadko poprószona jest ludność miejscowa, można bez obawy i szkody zapalać palestyńskie trociczki; ale u nas, wobec olbrzymiej masy żydowskiej, która dla swego otoczenia jest ciągle niechętna i która tę niechęć jeszcze pogłębi nadzieją opuszczenia „domu niewoli“; wobec jej otoczenia, które od wieków ucuwa odrazę rasowo-religijną i pretensye ekonomiczne, wobec tylu materyałów palnych, które nagromadziły wzajemne krzywdy, przesądy, fanatyzm, wreszcie niecne podszczuwania — ostrożnie z ogniem! Ani jedna strona, której wytłomaczono, że w obecnem miejscu jej zamieszkania ziemia nie jest jej ziemią, społeczeństwo — nie jest jej społeczeństwem, język — nie jest jej językiem, przyszłość — nie jest jej przyszłością, szczęście — nie jest jej szczęściem, ideały — nie są jej ideałami, ani druga, której powiedziano, że ona ma gościć u siebie milionową gromadę niczem niespojonych, o sobie tylko myślących wędrowców, którzy nie wiadomo kiedy i czy kiedy wyruszą — żadna strona nie zatrzyma się w swych myślach, uczuciach i czynach na granicy „zgodnego pożycia“ i obie rzucą się do zapamiętałej walki. Taki pożar moralno-społeczny, który zniszczy dotychczasowy zrąb pojednania i asymilacyi, będzie jedynym rezultatem obecnego uwijania się z syonistyczną pochodnią.

Go—on.

Z Cesarstwa.

Piąty obwodowy zjazd rolników w Kijowie. — Wszechrosyjski zjazd delegatów towarzystw wzajemnej pomocy nauczycieli w Moskwie. — Jubileusz prasy.

Jakkolwiek niektórzy utrzymują, że „uwaga powszechna, zwłaszcza w Warszawie, jest już trochę znożona tematami agrarnymi, którymi ją w ostatnich czasach tak wytrwale zajmowano,“ odważam się raz jeszcze takim właśnie tematem zająć czytelników *Prawdy*. Sądzę bowiem, że sprawa, interesująca najbardziej uspołecznione warstwy ogromnego państwa, nie nadaje się do traktowania

z punktu widzenia uprzyjemniania czytającej publiczności chwil poobiednich, a więc niema chyba potrzeby kłopotać się „znużeniem uwagi powszechnej.“

Piąty (obwodowy, ztrzech gubernij południowo-zachodnich, tudzież z Połtawskiej i Czernihowskiej) zjazd rolników w Kijowie, który trwał od 15 do 21 grudnia (st. st.), różnił się treścią swych obrad od poprzednich: sprawy techniki rolniczej ustąpiły miejsca ogólniejszym, ekonomicznym i społeczno-kulturalnym. Charakterem i treścią obrady przypominały bardzo posiedzenia komitetów rolniczych w Cesarstwie. Taki kierunek nadało im odrazu wstępne przemówienie prezesa kijowskiego, gubernialnego marszałka szlachty, ks. Repnina, który oświadczył, że zwołano zjazd, aby „dać członkom kijowsk. Tow. rolniczego i innym osobom, interesującym się rolnictwem sposobność do wypowiedzenia zdania w sprawach, postawionych przez Nadzwyczajną Radę rolniczą, a zarazem wskazania, jakie są najważniejsze potrzeby rolnictwa miejscowego.“ Zebrani skorzystali z takiego postawienia kwestyi, aby zająć się, jak już wspomniałem, sprawami ogólniejszego znaczenia. Przytoczę niektóre ważniejsze uchwały.

Ponieważ brak instytucyi samorządu ziemskiego utrudnia przeprowadzenie reform, niezbędnych dla podniesienia rolnictwa w kraju Południowo-Zachodnim, przeto zjazd postanowił jednomyślnie przyłączyć się do uchwał tych powiatowych i gubernialnych komitetów rolniczych w kraju Poł.-Zach., które domagają się wprowadzenia u siebie instytucyj ziemskich według ustawy 1864 r. Po dokładnem zbadaniu sprawy częstych i różnorodnych naruszeń własności rolnej przez włościan, zjazd przyszedł do wniosku, iż dla usunięcia tego niepożądanego zjawiska potrzeba szeregu reform, opartych na: a) ustanowieniu zupełnej własności gruntu dla włościan i b) zrównaniu ich pod względem prawnym z innymi stanami. Jednomyślnie uznano wogóle konieczność reform kardynalnych w istniejącem prawodawstwie, określającem byt włościan. Do tej pracy, zdaniem zjazdu, należy pociągnąć całe społeczeństwo w osobach jego przedstawicieli w komitetach powiatowych i gubernialnych, które *ad hoc* trzeba zwołać w tym celu.

W sprawie oświaty zjazd uznał za niezbędne: 1) wysunięcie na plan pierwszy oświaty ogólnej, nie specyalnej; 2) a dla dopięcia tego celu wprowadzenie przymusu szkolnego dla szkół elementarnych; 3) oddanie kierunku nauczania w całem państwie w ręce jednego ministeryum oświaty. Z innych uchwał w tej kwestyi, przez zjazd przyjętych, należy zaznaczyć rozpowszechnianie wyższej wiedzy rolniczej. Zdaniem zjazdu, brakowi wyższych szkół rolniczych najłatwiej i najtaniej daloby się zaradzić, otwierając przy uniwersytetach osobne wydziały rolnicze, na wzór istniejących w Niemczech; pożądanem byłoby też dopuszczenie do tych wykładów wychowańców szkół realnych, średnich rolniczych, a również i kobiet z odpowiedniem wykształceniem.

W celu stworzenia lepszej organizacyi kredytu, którego brak daje się uczuć tak drobnym, jak większym gospodarstwom rolnym, zjazd zalecił przyjęcie systemu hipotecznego, jako podstawy kredytu; dla ułatwienia i uczynienia go tańszym zjazd proponuje założenie państwowego banku ziemskiego dla wszystkich rolników, i towarzystw okręgowych wzajemnego kredytu rolników. Dalej postanowiono przedsiebrać starania o pozyskanie prawa udzielania kredytu w państwowym banku szlacheckim i szlachcie „pochodzenia polskiego,“ na jednakowych prawach ze szlachtą „pochodzenia rosyjskiego.“ W sprawie kredytu włościańskiego zjazd uchwalił uczynić przedstawienie o zrównanie warunków kredytu w państwowym Banku włościańskim z warunkami kredytu w Banku szlacheckim. Ostatnie dwie uchwały zjazdu uwzględniają zmiany częściowe, których przeprowadzenie jest koniecznem, bez względu na zmiany obecnych podstaw ogólnych kredytu.

Nie pominięto też sprawy emigracyi włościan do Syberyi. Wobec tego, że istniejącej organizacyi wychodźstwa dużo można zarzucić tak pod względem wyboru wychodźców, jak sposobu przeprowadzenia emigracyi kosztem samych emigrantów, zjazd proponuje, by emigracya odbywała się kosztem państwa, a do przesiedlania nakłaniano tych z ludności miejscowej, którzy najbardziej potrzebują pomocy.

Prócz wyżej wymienionych, zjazd roztrząsał jeszcze sprawę zniżenia ceł na narzędzia rolnicze, nawozy itp.; zniżenia frachtów i ulepszenia przewozu produktów rolnictwa; wydania ustawy normalnej dla drobnych spółek i towarzystw rolniczych; peryodyczności zjazdów obwodowych — i wiele innych.

Z powyższego bardzo pobieżnego sprawozdania widać, że zjazd pojął swe zadanie dość szeroko i traktował je poważnie, rozumiejąc, iż nawet przy pomocy najdoskonalszych ulepszeń technicznych nic się tam nie wskóra, gdzie rolnictwo pętają przeszkody, tkwiące w ciężkich warunkach ogólnych, społeczno-ekonomicznych.

Mimowoli przychodzi na myśl uwaga, że takie wysuwanie kwestyj ogólniejszych na plan pierwszy zyskało sobie w ostatnich czasach prawo obywatelstwa na wszelkiego rodzaju zebraniach, zwoływanych dla omówienia spraw fachowych. Jest to zresztą objaw całkiem naturalny, świadczącym, że szersze grupy fachowców rozumieją zależność swych spraw od wpływów ogólnych: kulturalnych, prawnych i społeczno-ekonomicznych. Taki charakter posiadały obrady zjazdu dla przemysłu drobnego, który się odbył w Petersburgu na początku roku zeszłego; poruszono także sprawy ogólne na zjeździe delegatów towarzystw wzajemnej pomocy nauczycieli szkół elementarnych w całem państwie, który odbywał się od 28 grudnia do 6 stycznia r. b. Nie będę przytaczał wszystkich uchwał tego zjazdu, powiem tylko o niektórych jego postanowieniach szerszego znaczenia. Wogóle muszę zauważyć, iż po za bardzo niewielu uchwałami zjazdu, uwzględniającemi potrzeby stanu nauczycielskiego, trudno tu znaleźć jakiekolwiek dowody profesyonalnego sobkostwa. Wniosek np. jednego z delegatów moskiewskich, p. Szygina, o obdarzeniu nauczycieli ludowych prawami służby państwowej, spotkał się z bardzo gorącym protestem. Delegat nauczycieli z powiatu Sławianoserbskiego (gub. Jekaterynosławska), p. Gławatczuk, występując przeciw projektowi p. Szygina, zauważył, że w dotychczasowym stosunku nauczyciela do ludności miejscowej, opierającym się na wzajemnem zaufaniu, od którego w znacznej mierze zależy rozwój pomyślny szkoły i wpływ nauczyciela na otaczających go włościan, z nadaniem mu charakteru urzędowego musiałoby nastąpić pewne oddalenie. P. Kondratjewa dodała przytem uwagę, że „nigdy nie był i nie powinien być urzędnikiem nauczyciel ludowy, któremu zawsze nad zabezpieczenie służby państwowej będą milsze prawa wolnej, chociażby i głodnej profesyi.“ Wniosek p. Szygina został odrzucony. W rozprawach nad warunkami bytu nauczycieli ludowych w Syberyi przyjęto głośnymi oklaskami następujące przedstawienie: „Uznać, że gruntowne zmiany w położeniu stanu nauczycielskiego w Syberyi mogą nastąpić wówczas dopiero, gdy zostanie wprowadzony do tego kraju samorząd ziemski.“ Rozszerzając ten wniosek, zjazd uznał za pożądane w interesie rozwoju szkolnictwa ludowego i polepszenia warunków istnienia nauczycieli — wprowadzenie instytucyi samorządu ziemskiego i na innych „kresach“ państwa. Pierwsza sekcya zjazdu (dla ogólnych spraw polepszenia bytu nauczycieli) wybrała ze swego łona osobną komisyę dla szczegółowego opracowania dezyderatów w sprawie położenia prawnego nauczycieli ludowych. *Russkija Wiedomosti* dają następne streszczenie głównych żądań, zawartych w referacie: Komisya proponuje, by zjazd uznał niestosowność połączenia czynności kierownictwa pedagogicznego w szkołach z policyjnem zadaniem dozorowania politycznej i moralnej prawomyślności nauczycieli ludowych, gdyż kierowanie szkołą wymaga wzajemnej ufności pomiędzy kierownikiem i nauczycielem, a taki dozór niszczy wszelką ufność; wpływ inspektora oraz dyrektora szkół ludowych na nauczycieli powinien mieć źródło w powadze i przekonaniu moralnem, a nie opierać się na autorytecie posiadanej przez nich władzy; przy obsadzaniu wolnych posad nauczycielskich w szkołach, inspektor winien kierować się nie tajnemi informacyami o kandydatach, a tylko takiemi, które mogą być podane do wiadomości publicznej; pożądanem jest, by nauczyciela szkoły elementarnej wolno było usunąć z zajmowanego stanowiska tylko na mocy wyroku sądowego; dla kontroli nauczania w szkołach należałoby utworzyć przy instytucyach ziemskich osobne komisye doradcze, w których skład, prócz deputatów ziemstwa, wchodziliby i przedstawiciele stanu nauczycielskiego; a ponieważ nauczyciel w szkole nie może w postępowaniu z dziatwą używać innych środków oddziaływania, jak humanitarne i pedagogiczne, gdy skądinąd, po skończeniu szkoły, ucznia może spotkać najbardziej hańbiąca kara—chłosta, pożądanem jest przeto uwolnienie byłych uczniów szkoły ludowej od kary cielesnej; rewizyi w mieszkaniu nauczyciela, która nie dała wyników obciążających go jakąkolwiek winą, nie powinno się uważać za powód do usunięcia go ze stanowiska; pożądanem jest również, by dyrektorowie szkół wszystkie swe doniesienia o szkołach i nauczycielach przedstawiali przedewszystkiem radom pedagogicznym i instytucyom ziemskim; by prezes rady szkolnej był obierany przez nią samą, a doniesienia miejscowego duchowieństwa o nieakuratnem wypełnianiu przez nauczyciela praktyk religijnych nie były uznawane za powód do usunięcia go ze stanowiska; by duchowieństwo w szkołach obowiązane było jedynie do wykładania zasad religii, a zwolnione od obowiązku czuwania nad moralnością nauczyciela — itd.

Przytoczone dezyderaty komisyi, jak już wspomniałem, nie przyjęły formy uchwał, a przeto praktycznego znaczenia nie mają; ciekawe są one tylko jako objaw nastroju uczestników zjazdu. Niewątpliwą doniosłość praktyczną posiada natomiast uchwała, dotycząca utworzenia ogólnego związku wszystkich Towarzystw nauczycieli w państwie — na wzór niemieckiego „Deutscher Lehrer Verein'u.“ Według przyjętego projektu, do związku mogą należeć wszystkie samodzielne Towarzystwa wzajemnej pomocy nauczycieli szkół elementarnych i inne Towarzystwa nauczycielskie, bez względu na ministeryum, któremu podlegają, i zakłady naukowe, w jakich pracują ich członkowie. Towarzystwa, należące do związku, obowiązane są wypłacać akuratnie ustanowioną składkę pieniężną, dostarczać sprawozdań z własnej działalności, wszelkiego rodzaju informacyj na żądanie związku. Towarzystwom pozostawia się zupełną niezależność w działalności na miejscu i w wewnętrznej organizacyi. Związek ma na celu zjednoczenie działalności Towarzystw w celu przeprowadzenia czynności, przechodzących siły jednego

Towarzystwa. Do tego mają służyć: 1) biuro centralne, informacyjne; 2) pismo peryodyczne, poświęcone zadaniom Towarzystw nauczycielskich; 3) wydawnictwo dzieł, omawiających sprawy Towarzystw pedagogicznych i potrzeby nauczycieli; 4) zakładanie pensyonatów, sanatoryów, domów nauczycielskich, zakładów naukowych i tym podobnych instytucyi dla nauczycieli i ich dzieci; 5) organizacya wycieczek i podróży dla grup nauczycieli; 6) założenie centralnego muzeum pedagogicznego; 7) okazywanie pomocy nauczycielom w ich dążeniach do samokształcenia; 8) organizacya zjazdów nauczycieli i wogóle zjazdów dla omówienia sprawy oświaty ludowej i tak dalej.

2-go stycznia st. st. minęło 200 lat od wydania pierwszej rosyjskiej gazety, której redaktorem był Cesarz Piotr Wielki. Znamienny ten jubileusz przeminął nad wyraz cicho i niepostrzeżenie: cały obchód ograniczył się do urządzenia wystawy rękopisów, korekt i samej gazety Cesarza Piotra W. w typografii synodalnej w Moskwie i do pojawienia się w dziennikach kilku artykułów, przedstawiających w krótkości losy prasy peryodycznej w Rosyi.

A. Z—a.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Gra w fałszywe karty.

Od dość dawna słychać narzekania na nasz konwencyonalizm myślowy, uczuciowy i życiowy. Stare, piękne cnoty powymierały, niekiedy bezdzietnie, pozostały ich nazwy, które są w obiegu, niewycofane dotąd, przyjmowane za monetę, mającą kurs w kraju. Narodziły się wprawdzie cnoty nowe, otrzymały nazwy właściwe, zyskały tu i owdzie prawo obywatelstwa; ale wciąż zachodzą im drogę upiory cnót zmarłych, które społeczność nasza otacza szczególną czcią. Podobne do owego zwiędłego krzaku róży, owiniętego w słomę, do owego Chochoła Wyspiańskiego, choć każde dziecię, władające rozumem, nazwie je śmieciem, idą pomiędzy ludzi, obejmują komendę nad żywymi, rzucają czar na oczy; na czołach człowieczych zataczają kółka, biorą w niezgrabne ręce dwa patyki i poczynają przygrywać naszej szopce społecznej do jakiegoś dziwnego, jednostajnego tańca, smętnego a usypiającego, tańca upiorów, które na świecie jeszcze, ale nie dla świata. Tańcuj, szopka, cały rok! Taniec święty, taniec szkieletów, przybranych w szaty żywych, w barwy żywych, w uśmiechy, spojrzenia i rozmowy żywych. Chochoł-hypnotyzer, chochoł-grajek, ukochany śmieć, starosta weselny naszej szopki, gra, a my tańczymy, i biada temu, kto, wpadłszy na scenę, wyrwie straszydłu słomianemu patyki z rąk, obali na ziemię, jak błazna, dmuchnie obecnym w twarz rzeczywistością, wskaże ręką na okna, że już na świecie biały dzień, krzyknie: zbudź się, szopka! Ludzie popatrzą na niego, jak na szaleńca, zbuntują się przeciwko niemu, bo odebrał im złudę, milszą od życia samego, starą złudę, senną złudę, która nie żąda od nich wysiłków nadludzkich mózgu, nie żąda od serca oczyszczenia uczuć w ustawicznym ogniu, a natomiast daje lenistwu duchowemu sankcyę moralną, społeczną, patryotyczną.

W takich warunkach rycerze przemysłu mają istne żniwo. Społeczność, zahypnotyzowana różnymi liczmanami przekonaniowymi, traci wszelki krytycyzm. Wszyscy wszystko rozumieją, nic nie trzeba i nie wolno wyjaśniać, o nic pytać, powstaje jakiś żargon cnoty, świeczkę nakrywa się korcem, aby nie zgasła, dziesiąta woda po kisielu jest prawdą powszechnie uznaną, gramy w karty fałszywe, i to nie nazywa się szulerką, oszukujemy się nawzajem, i to nie nazywa się oszustwem, zabalsamowane idee, które dawno winny były spocząć pod piramidami, uchodzą za panny na wydaniu; złodzieje, którzy dawno powinni siedzieć w kryminale, paradują w szatach Arystydesów; głupcy są otaczani czcią Salomonów.

Ot, szereg przykładów.

Występuje na widownię nowy człowiek. Co nam przynosisz? — zapytuje nasza społeczna szopka. — Przynoszę wam moralność! — woła nowy człowiek. — Radosne zdumienie ogarnia wszystkich. Nikt nie widzi, że owemu moraliście wychylają się z pod surduta łby skradzionych gęsi, kur i kaczek. Powiedział: moralność! To zupełnie wystarcza. Któżby się odważył zapytać tego Arystydesa: mój Szlachetnicki, co też ty rozumiesz pod wyrazem moralność?? Tak, nie może takiego pytania stawić, bo Szlachetnicki krzyknąłby natychmiast do naszej szopki społecznej: obywatele, ten człowiek nie wie, co to jest moralność, on ma pod tym względem wątpliwości. Obywatele, na gałąź z nim!

Występuje na widownię nowy człowiek i rzuca hasło: kobieta polska! Wszystkich ogarnia wprost rozrzewnienie. Ot, hasło wspaniałe! Ale nikt nie zapyta: powiedz mi, zacny, jak ty sobie wyobrażasz ideał kobiety polskiej? Nie może stawić takiego pytania, gdyż natychmiast ów zacny krzyknąłby: Obywatele, ten człowiek nie wie, co to jest ta ogromnie nasza, ogromnie droga kobieta polska! Obywatele, ten człowiek ma pod tym względem wątpliwości, na gałąź z nim!

Występuje na widownię nowy człowiek i rzuca hasło: swojskość... Wprawdzie Rodoć pisał ongi: niech będzie takim cyganem, że się i opisać nie da, Tatarem, Niemcem, szatanem, niech swoich zdradzi, niech sprzeda, byle dobrym był swojakiem... Ale też Rodoć umarł w bólu i znękaniu, udławiony własnym humorem iście szubienicznym, bo się nad takiemi rzeczami bezkarnie nie myśli u nas... Sza, milczeć, nie wolno pytać, niechaj idzie gra fałszywemi kartami! Obywatele, ten człowiek nie wie, co to jest swojskość, na gałąź z nim!

Ale ci sami ludzie zupełnie inaczej rozumują, gdy chodzi o wynajęcie mieszkania, o kupno mendla jaj, o zmianę pieniędzy. Pan mi ofiarujesz piękne mieszkanie? Pokaż mi je pan, obejrzę je dokładnie, pokój za pokojem. Te jaja chcesz mi pan sprzedać? Ależ powąchaj! One zepsute. Zmieniasz mi pan pieniądze? Panie, ta dwudziestówka jest fałszywa, a jeżeli nie fałszywa, to w każdym razie niepewna, ja jej nie wezmę, daj mi pan inną!

Moralność, cnota, ideał polskiej kobiety, swojskość, narodowość, obywatelstwo — tego ci ludzie nie oglądają, nie badają, nie poddają analizie; powąchają każde jajko, dziesięć razy obrócą w rękach każdą dwudziestówkę; domagają się komisyj sanitarnych, obecności weterynarzy w rzeźniach publicznych, rewizyi kas — bo mięso może być zepsute, jajko zatęchłe, kasa okradziona — moralność natomiast nie podlega zepsuciu, cnota zmianie, ideał obniżeniu lub całkowitej zatracie, swojskość wynaturzeniu, narodowość ewolucyi. Wszystko więc się zmienia, postępuje, rozwija, tylko w mózgach ludzkich pokutują przedpotopowe pojęcia, upiory dawnych, żywych pojęć, dziś mumie.

Występuje nowy człowiek i woła: bracia, ja niosę wam jedność! Szał radości ogarnia wszystkich, grzmią oklaski, dusze upojone szczęściem. Każdemu staje zaraz przed oczami pułk żołnierzy na wojnie, okręt w czasie burzy, każdy już wie, co znaczy jedność, rozumie jej potrzebę, hasło takie nazywa poprostu świętem.

Tymczasem gdzieś z kąta sali odzywa się gromki głos: precz z jednością!

Niesłychane oburzenie ogarnia szopkę społeczną. Co on powiedział: Precz z jednością? Za drzwi z nim, to zdrajca, destruktor, wywrotowiec!

Dzieci, dzieci, stare dzieci!..

Jakże jednozgodne były te tłumy, potępiające zasadę miłości bliźniego, którą następnie przyjął cały świat! Jakże jednozgodnie potępiono teoryę Kopernika, plany Kolumba, projekt budowy statku parowego! Każde wielkie odkrycie naukowe było wielkim protestem przeciw jednomyślności! Jakże niedawno jeszcze wyśmiewano bakteryologów! Co w innych krajach uchodzi od dość długiego czasu za prawdę niezbitą, to się u nas nazywa utopią; co gdzieindziej weszło w program dnia powszedniego, to u nas jest karygodnem marzycielstwem rozpalonych głów, bluźnierstwem i rzeczą niepatryotyczną.

Ilekroć zasada jedności godzi w prawdę, w postęp, w naukę, nie jest ona cnotą, ale błędem fatalnym; należy ją złamać, rozbić, odrzucić. Ilekroć jednomyślność staje się zawiązką na oczach ludzkich, należy tę zawiązkę zerwać. Winniśmy poddać rewizyi wszystkie nasze pojęcia, zbadać na nowo wszystkie nasze zasady, wygnać wszelkich Chochołów, którzy nam na patykach wygrywają konwencyonalne melodye cnót, bohaterstw, poświęceń i tym podobnych wiecznie deklamowanych, a nigdy niewidzianych nadzwyczajności miejscowych! Winniśmy wygnać wszystkich szulerów, którzy nas uczą grać fałszywemi kartami. U nas każda kucharka mniema, iż o wieczności więcej wie od filozofa, każda młodsza zatyka ręką usta historykowi, kucharka i młodsza prawi nam o nadzwyczajnej szkodliwości jakiegoś Schopenhauera, Darwina, Haeckla, kucharka i młodsza w imię zasady jedności żądają od uczonego zestąpienia z katedry na poziom ciemnoty, żądają milczenia, ba, żądają głoszenia filozofii i historyi, którą sobie obmyśliły w swej kuchni lub w swej garderobie.

Precz z wszelką rutyną myśli, uczucia i życia! Ja dziś już doprawdy nie wiem, co to jest patryotyzm, ja nie wiem, co to jest cnota, ja nie wiem, co to jest obywatelstwo, co to jest ideał, nie wiem, nic nie wiem! Wiem tylko, że to wszystko, co tak nazywają, jest zwykle chochołowem mamidłem, muzyką obłędną, tumaniącą rozum i uczucie, że to jest w piękne szaty przybrane kłamstwo, że to mi trupem trąci, że to nie jest coś żywego, że to jest coś, co powinno dawno leżeć pod ziemią. Przeciwko temu burzy się cała moja natura, całe moje jestestwo, cała moja dusza! Widzę Piłatów, umywających ręce i za to umywanie rąk nazywanych bohaterami; widzę Judaszów, ubierających się w szaty apostolstwa, wypychających sobie kieszenie srebrnikami i nazywanych dobroczyńcami; widzę kretynów, piszących Salomonowe zdania, widzę medya, które na rozkaz mistrzów swoich nazywają błoto potrawą, a potrawę błotem; widzę wszędzie ową grę fałszywemi kartami, przy której, o ironio, ludzie doznają nawet niekiedy istotnie wzruszeń podniosłych i są głęboko przekonani, że budują wielką, świetlaną, niesłychaną, anielską przyszłość!

Powiadają, że żywymi rządzą umarli. Tak jest. W głowach naszych pokutują zasady, które były żywotne przed jakąś setką lat, które zostały wygłoszone śród innych okoliczności i warunków, których autorowie dawno już są prochem grobów. Myśli, które biły tętnem żywotności przed dziesiątkami lat, a dziś strupieszały, mają cenę bieżącą. Umarli je nam poddali, jesteśmy dziedzicami rupieci myślowych i uczucio-

wych, jesteśmy zahypnotyzowani przez tych, którzy byli, a którzy nie wrócą już nigdy. Powiedziałbym tedy, gdyby się to nie wydało nadto paradoksalnem, że walczyć częściej musimy z umarłymi, niż z żywymi — i to jest doprawdy tragedyą.

Spokój umarłym — ależ oni nam spokoju nie dają! Dajmy im wreszcie spokój — spojrzyjmy na tych żywych nieboszczyków, którzy byliby istotnie postaciami operetkowemi, gdyby wynik cały przedstawienia owej szopki społecznej nie był wysoce tragiczny, gdyby nam istotnie chodziło tylko o zbieranie typów do satyr, a nie o podniesienie poziomu kulturalnego.

Jesteśmy, jak ów dziki człowiek, który po łuku bambusowym marzy o łuku fernambukowym, kiedy biali posiadają już broń repetyerową; żądamy oświaty, ale, czem ona jest, nie wiemy; kultura jest dla nas snem o żelaznym wilku. Anglik wymyślił, Polak lęka się powtórzyć; Francuz zrobił, Polak powiada, że myśl o takiej robocie jest szaleństwem. Ale jeżeli Wiedeńczyk wymyślił operetkę, Niemiec hakatę, to natychmiast sprowadzimy sobie jedno i drugie; często zaś, sparzywszy się na błędach cywilizacyi, bagatelizujemy jej cnoty, jej niesłychane zalety, jej wielkie tryumfy; winimy ową cywilizacyę, ale nie siebie, że sięgnęliśmy po jej dary ujemne; wierzymy wciąż jeszcze w jakąś naszą wyższość umysłową, w wyższość etyczną, w wyjątkową szlachetność naszą...

Jeżeli życie ma być snem, rzeczywistość widziadłem, a człowiek marą — jeżeli zbrodnią ma być chęć myślenia własnym mózgiem i odczuwania własnem sercem — jeżeli inna logika obowiązuje na wielkim, ucywilizowanym świecie, a inna u nas — jeżeli cały byt nasz ma wisieć na włosku ułudy, cała inteligencya nasza na szlachetnem kłamstwie, cała etyka nasza na aforyzmie, gdzieindziej zapomnianym dawno — jeżeli pytać, badać, szukać, dążyć, poddawać analizie bezwarunkowo wszystko, zostaje zakazane przez naszych społecznych Chochołów — jeżeli z duszy swej mam zrobić wygodne łóżko, aby się w niem mógł wylegiwać umysł polski i przechrapać, jak leniwiec, całe życie swoje — to pozwólcie, szlachetni, że zawsze znajdę sobie w tej wielkiej sali naszej jakiś kąt, aby z niego ku wam krzyknąć: Precz z jednością ciemnych, starych dzieci, zahypnotyzowanych konwencyonalizmem, precz z jednością kucharek i młodszych, precz z grą w fałszywe karty! Niech żyje niezgoda, która chwyta was za karki, potrząsa i budzi ze snu! Niech żyją ci, którzy rozpalonem do białości żelazem, dziobią was, uśpieni!

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Szczep i naród.

—◆—

Czy teorye polityczne mogą wpłynąć na bieg wypadków politycznych, to jeszcze pytanie? Natomiast nie zdaje się ulegać wątpliwości, że sytuacye polityczne i prądy społeczne tworzą sobie swoje teorye, odpowiadające ich chwilowym potrzebom. To też najczęściej teorye polityczne mają tylko znaczenie symptomatyczne; nie zawierają one żadnych *prawd naukowych*, lecz są tylko wyrazem pewnych potrzeb i dążności społecznych.

Ale niezawsze dążności polityczne są, że tak powiem, twórcze, tj. niezawsze potrafią one stworzyć sobie oryginalne teorye. W takich razach uciekają się do sztucznych prób wytłomaczenia istniejących teoryj i do naginania ich do swoich celów. O takim wypadku muszę dzisiaj mówić. Pamiętamy jeszcze smutne wydarzenia ubiegłego lata w Zagrzebiu; zaszły tam rozruchy krwawe między Chorwatami i Serbami. Bezpośrednim powodem czyli raczej pretekstem do tych starć był artykuł, ogłoszony w serbskim *Kniżewnim Glasniku* w Belgradzie o Serbach i Kroatach przez „N. S.,“ który obecnie, ogłosiwszy artykuł ten z dodatkami w drugim wydaniu, jako osobną broszurę, wypisał na tytule nazwisko swoje całe: jest to pan *Mikołaj Stojanowicz*. Otóż w artykule tym autor, Serb, radzi Chorwatom, żeby połączyli się z Serbami albo raczej żeby, jako „szczep,“ wcielili się zupełnie i wsiąknęli w narodowość serbską. Że patryota serbski pragnie anektować całą Chorwacyę i wszystkich Chorwatów do Serbii, w tem niema nic dziwnego, i prawdopodobnie żaden patryota chorwacki nie miałby nic przeciwko temu, gdyby Serbowie chcieli zrzec się swej narodowości na rzecz Chorwacyi i stali się Chorwatami. Takie sprzeczne i przeciwne dążenia odrębnych a rywalizujących z sobą narodowości są zjawiskiem naturalnem; przywiedźmy sobie tylko na pamięć, co się dzieje na Śląsku austryackim między Czechami a Polakami i we wschodniej Galicyi między Polakami a Rusinami. Więc w żądaniu p. Stojanowicza niema nic dziwnego. Ale żądanie to trzeba było poprzeć jakąś teoryą: bo na cóż są teorye polityczne? Tymczasem tendencya wszechserbska nie obfituje jakoś w teorye oryginalne, i p. Stojanowicz nie potrafił samodzielnie zaradzić temu brakowi. Nie pozostało mu więc nic innego, jak wziąć pierwszą lepszą jakąś teoryę i nagiąć do swojego celu. Tym razem ofiarą tej nieco gwałtownej operacyi padł, niestety, niżej podpisany.

Już w artykule w *Glasniku* p. St. powiada, że dotąd rozstrząsano sprawę serbsko-chorwacką ze stanowiska filologii i etnografii, ale bez widocznego rezultatu. Podejmuje on więc rewizyę tej kwestyi ze stanowiska socyologicznego, „opierając się przytem głównie na uznanej powszechnie teoryi Gumplowicza.“ Otóż, ponieważ ta teorya twierdzi, że szczep jest „wytworem etnicznym,“ a naród „wytworem kulturnym,“ i że każdy naród składa się z kilku szczepów, stąd p. Stojanowicz wyprowadza wniosek, że Chorwaci, jako szczep (?), powinni się przyłączyć do Serbów, jako do narodu, i — z nimi połączeni — stworzyć jedną narodowość. Nie czuję się powołanym do rozstrzygania waśni serbsko-chorwackiej lub wogóle do mieszania się w tę sprawę: skoro jednak p. Stojanowicz powołuje się na moją teoryę, i to nietylko w artykule, który przed kilku miesiącami wywarł wpływ taki fatalny, ale świeżo znowu w broszurze, która oczywiście ma być „agitacyjna“ — to zmuszony jestem nareszcie oświadczyć publicznie, że *nigdy i nigdzie podobnej teoryi, podsuwanej mi przez p. Stojanowicza, nie wypowiedziałem*. Nie posądzam ja bynajmniej p. Stoj. o złą wiarę, ale muszę powiedzieć, że zapewne w zapale patryotycznym, szukając argumentów dla poparcia swojej tendencyj wszechserbskiej, najmylniej w świecie zrozumiał odnośne wywody, zawarte w moim podręczniku austryackiego prawa publicznego (wydanie 2-ie 1901), tudzież w moim wykładzie powszechnego prawa publicznego (wyd. 2-ie 1897) *)

Rozpatrując w pierwszem z tych dzieł narody i szczepy, wchodzące w skład monarchii austro-węgierskiej, określam różnicę między szczepem a narodem w następujący sposób: „Szczep różni się od narodu jednolitością struktury społecznej, brakiem znaczniejszej przeszłości historycznej i rozwoju kulturalnego, jakoteż stosunkowo mniejszą objętością ludnościową. Do szczepów w Austro - Węgrzech zaliczyć można: Rusinów w Galicyi i na Węgrzech; Słowaków na Węgrzech, Słoweńców w krajach alpejskich, Ladyńców w Frizelanii. Wszystkie te szczepy są etnicznie dosyć jednolite, składają się przeważnie z jednej klasy społecznej, a mianowicie z rolników lub drobnych rękodzielników; nie mają właścicieli dóbr większych (szlachty) i tylko zarody mieszczaństwa“ (str. 65). O Chorwatach między szczepami *nie wspomniałem*, ani też do szczepów zaliczyć ich nie mógłbym, bo oczywiście pod powyższe określenie szczepu nie podpadają! Natomiast o Chorwatach mówię w innem miejscu tego samego dzieła, w rozdziale o „indywidualnościach historyczno - politycznych“ (str. 73). Wyliczając kraje, które w obrębie monarchii austro-węgierskiej stanowią odrębne „indywidualności historyczno-polityczne,“ obok krajów niemieckich, jak Tyrol, Arcyksięstwa austryackie, krajów korony św. Wacława (Czech, Morawy i Śląska) Galicyi, Lodomeryi wraz z Bukowiną (za co się na mnie oburzył swego czasu prof. Starzyński we Lwowie, protestując przeciw tej kombinacyi Bukowiny z Galicyą!) nareszcie obok Węgier, kładłem „Trójjedyne Królestwo Chorwacko - Sławońsko - Dalmatyńskie.“ Określając zaś istotę indywidualności historyczno-politycznej powiadam tam, że powstaje ona „z wiekowego połączenia kilku krajów w jednej organizacyi państwowej,“ tudzież że taka „indywidualność historyczno-polityczna“ zajmuje, na zasadzie tej swojej przeszłości, odrębne stanowisko prawno-polityczne w państwie.

Nietylko więc nie zaliczyłem Chorwatów do *szczepów*, ale wliczyłem ich do *narodów* i *narodowości*, a jeszcze nadto Trójjedyne Królestwo Chorwacko-Słoweńsko-Dalmatyńskie zaliczyłem do szeregu indywidualności historyczno-politycznych, mających prawo do odrębnego stanowiska prawno-politycznego w monarchii austro-węgierskiej.

Niechże mi więc teraz powie z łaski swej p. Stojanowicz, na jakiej zasadzie on na moją „uznaną teoryę“ się powołuje, że Chorwaci są „szczepem,“ który jako taki przeznaczony jest i powinien połączyć się z *narodem serbskim?* Pana Stojanowicza poprostu pamięć omyliła. Nie miał oczywiście przed sobą książki mojej, pisząc swój artykuł i wydając go teraz w drugim wydaniu, jako osobną broszurę*). Więc to, co ja o *szczepach* piszę (np. o Słoweńcach styryjsko-kraińskich), że mogą one w dalszym rozwoju, wśród przyjaznych stosunków i okoliczności, zostać *narodem* i wyrobić odrębną narodowość, odniósł on mylnie do Chorwatów, którzy przecież w *wiekowej swej historyi* dawno już są narodem, wyrobili sobie odrębną narodowość i w obrębie monarchii austryackiej stanowią indywidualność historyczno-polityczną taką samą, jak Węgrzy i Czesi w Czechach, na Morawach i na Śląsku.

Jeżeli się zaś p. Stojanowicz, o czem nie wątpię, przekona, że go pamięć omyliła i że niesłusznie na mnie się powołał, oczekuję po jego lojalności, że błąd ten publicznie przyzna. Jakie zaś ja mam zdanie *naukowe* o tych dwóch narodach i narodowościach, o Serbach i Chorwatach, to niedawno wyłuszczyłem na tem miejscu **), nie mając przytem najmniejszego zamiaru mieszania się do aktualnej polityki serbsko-chorwackiej.

Prof. Ludwik Gumplowicz.

*) Wyszły one tylko w języku niemieckim: *Das oesterreichische Staatsrecht*. 2-te Auflage, Wien, Manz, 1902, i *Allgemeines Staatsrecht*, Innsbruck, Wagner, 1897.

*) *Serbi i Chorwati*, wyd. 2-ie, Nowy Sad, 1902.
**) *Prawda* z r. 1902, nr. 44—46.

Instytut socyologiczny w Brukseli.

—⬥—

Dostatnich dniach listopada otworzono w Brukseli nowy zakład naukowy, jak dotychczas, zdaje się, jedyny w swoim rodzaju. Jest nim ufundowany przez senatora Ernesta Solvay'a „Institut de Sociologie,“ przeznaczony do ułatwiania studyów badaczom samodzielnym we wszelkich dziedzinach nauk społecznych *). Chcemy tu przedstawić historyę i charakter tej fundacyi, z której może zechcą korzystać i nasi socyologowie i ekonomiści.

Ernest Solvay — jest to bardzo bogaty fabrykant sody, który przed jakimiś czterdziestu laty — dziś ma około 60 — zaczął od niczego i, jak to mówią, „własną pracą“ dorobił się majątku i stanowiska. Od innych ludzi tego gatunku różni się on korzystnie tem, że ma żywy i bystry umysł, a prócz tego — zachował wrażliwość na sprawy i niedomagania społeczne. Z drugiej jednak strony, brak mu systematycznego i gruntownego wykształcenia; jest to typowy samouk, któremu przytem osobiste powodzenie w walce ekonomicznej i bogactwo nadaje wielką pewność siebie. Cała jego działalność nosi cechy, wynikające z tych dwóch źródeł psychologicznych.

Solvay mianowicie doszedł do wniosku, że w społeczeństwie źle się dzieje i że trzeba je ratować, oraz — jak to często u samouków bywa — wymyślił w tym celu „własny“ sposób. „System“ jego, nazwany szumnie *comptabilisme et productivisme*, czyli jakby „systemem wytwórczo-rachunkowym,“ jest w gruncie rzeczy poprostu projektem usunięcia pieniędzy, uważanych przez Solvay'a za źródło wszelkiego zła społecznego, a to za pomocą czeków osobistych, wydawanych każdemu obywatelowi przez bank rządowy i przez tenże poręczanych. Bank taki prowadziłby rachunek wytwórczości każdego obywatela, mierzył ją za pomocą idealnej miary wartości, bez pomocy pieniędzy, i wydawałby do odpowiedniej wysokości czeki, którymi opłacane byłyby wszystkie wartości, do życia potrzebne, przyczem bank wymieniałby także każdemu czeki, otrzymane od innych. Byłoby to więc na wielką skalę coś w rodzaju *clearing-house*'ów, czyli biur kompensacyjnych, w których proste przenoszenie pozycyj z rachunku jednego interesanta na drugi zastępuje faktyczną wypłatę. Oprócz tego Solvay pragnie zupełnego zniesienia spadkobrania, tak aby wszyscy, zaczynając karyerę ekonomiczną, byli w równych warunkach. Po za ten stopień radykalizmu nie posuwa się on i wszelkie dalej idące, gruntowniej rzecz biorące programy uważa za utopie. Jednocześnie zaś nie zdaje sobie sprawy ani z tego, że pomysł jego nie jest wcale oryginalny, że miał poprzedników nietylko w Proudhonie, ale i we wcześniejszych ekonomistach angielskich, których już w r. 1859 Marx wyliczał i krytykował w swym „Przyczynku do historyi ekonomii politycznej,“ ani też z tego, że właśnie w gospodarstwie publicznem, opartem na przedsiebiorstwach prywatnych i wymianie towarów, wprowadzenie takiego systemu znaczkowego jest zupełną utopią, że gospodarstwo towarowe nie może obejść się bez pieniądza, który jest jednocześnie konkretnym, wartościowym towarem, i że nawet najnowsze uproszczenia wypłat — biura kompensacyjne — muszą opierać się na rękojmi monety brzęczącej, bez której wszelki system fiducyarny upada dla braku zaufania.

Nie zdając sobie sprawy z tego wszystkiego, Solvay z projektem swym wystąpił parokrotnie w senacie belgijskim, gdzie go spotkało — jako milionera — grzeczne milczenie. Prócz tego zaś, coś przed ośmiu laty, zwrócił się do kilku wybitnych uczonych belgijskich z propozycyą zajęcia się wraz z nim systematycznem badaniem źródeł niedomagań społecznych, oraz sposobów zaradzenia im, ze szczególnem uwzględnieniem kwestyi wymiany i pieniędzy. Ludźmi tymi byli: znany ekonomista i socyolog, Wilhelm de Greef, rektor Uniwersytetu Nowego *), oraz dwaj deputowani: sławny Emil Vandervelde i Hektor Denis, profesor uniwersytetu „Wolnego,“ jedyny z lewicy, który w r. 1893 ze względów osobistych w tym starym uniwersytecie pozostał. Choć wyznawcy poglądów dalej idących, nie odmówili oni swej pomocy Solvay'owi, pojmując postawione im przezeń zadanie bardzo szeroko, nie ograniczając go bynajmniej do badania specyalnych warunków urzeczywistnienia pomysłów samego Solvay'a. W ten sposób powstał w r. 1894 „Instytut nauk społecznych“; lecz czynności jego były z początku naogół nieokreślone, ograniczały się zaś do wydawania dwumiesięcznika *Annales de l'Institut des Sciences Sociales*. Siedem roczników tego wydawnictwa (do r. 1900) zawiera — oprócz problematycznej wartości notatek samego Solvay'a — cały szereg cennych prac trzech pozostałych redaktorów, jak np. De Greefa „Studya o pieniądzu, kredycie i bankach,“ Denisa **) charakterystyki dawnych ekonomistów, Vanderveldego — badania o wpływie miast na wsie, oraz recenzyę trzeciego tomu „Kapitału“ itp. Prócz tego firmę „Instytutu nauk społecznych“ nosi wydany w Paryżu przekład francuski tomów II i III-go tego dzieła.

Wreszcie Solvay pomyślał o zamianie tego tymczasowego niejako instytutu na stały. Postanowił utworzyć go zupełnie na wzór założonego już przez siebie również przed kilku laty instytutu fizyologicznego. Instytut ten wznosi się w parku Leopolda i pozostaje pod dyrekcyą dr. Pawła Hegera, profesora fizyologii w uniwersytecytecie „Wolnym.“ Miasto dało pod niego grunt; Solvay zbudował go swoim kosztem i łożyć ma na jego utrzymanie przez lat 25, poczem cały zakład przechodzi na własność miasta Brukseli.

(D. n.).

Dr. K. Krauz.

*) Nie należy go mieszać z „Institut International de Sociologie,“ zupełnie od niego niezależnym, który istnieje od r. 1893, ma swój sekretaryat w Paryżu, jest nie zakładem, lecz stowarzyszeniem, rodzajem akademii, uczonych socyologów wszelkich narodowości, odbywa kongresy i wydaje co rok *Annales de l'Institut International de Sociologie* (dotychczas osiem tomów).

*) Korzystam tu ze sposobności, aby zaznaczyć, że w Brukseli istnieją dwa uniwersytety: „Libre“ i „Nouvelle.“ Obydwa nie są rządowe, gdyż w Belgii wolno zakładać uniwersytety prywatne, które, jeśli tylko wykładają przedmioty, wyliczone w programie urzędowym, mogą wydawać prawomocne dyplomy na podstawie egzaminów, składanych przed komisyami mieszanemi: z własnych profesorów i z delegatów ministeryum oświaty. Oprócz dwóch uniwersytetów rządowych. w Gandawie i Leodyum, istnieją też w Belgii trzy prywatne: stary, katolicki — w Lowanium, „Libre“ w Brukseli, założony zaraz po r. 1831 przez partyę liberalną, który dotychczas jest siedliskiem niezmiennego, skostniałego, doktrynerskiego „liberalizmu,“ wrogiego tak katolicyzmowi jak i wszystkim nowym prądom, i wreszcie „Nowy“ — też w Brukseli. Ten powstał w r. 1893 wskutek secesyi wszystkich radykalniejszych żywiołów z Uniw. „Libre,“ spowodowanej cofnięciem katedry słynnemu geografowi, Elizeuszowi Reclus, z powodu jego przekonań. Obecnie chwilowo zwinięte zostały na nim wydziały przyrodniczy i medyczny, istnieją zaś — prawny i filozoficzny: ten ostatni — ze specyalną, szczególnie pielęgnowaną, sekcyą nauk społecznych. Wykładają tu: De Greef, bracia Reclus, Picard, Vandervelde i inni, oraz liczni przyjezdni, jak: M. Kowalewski, H. Ferri, Roberty, Sighele, a z Polaków: Wł. Kozłowski, Zofia Daszyńska-Golińska i autor niniejszego.

**) Dla charakterystyki stosunków belgijskich warto zaznaczyć, że mimo swych poglądów Denis oddawna jest członkiem brukselskiej — oficyalnej — akademii nauk, a de Greef właśnie obecnie został wybrany na jej członka-korespondenta. Denis niedawno, z powodu śmierci królowej wystąpił publicznie w parlamencie z wyznaniem wiary republikańskiem; pomimo to został na r. b. wybrany prezesem akademii.

—⬥—

O skraplaniu gazów.

Odczyt, wypowiedziany przez dr. Tadeusza Estreichera, dla członków sekcyi technicznej.

—⬥—

Prelegent wobec napełnionej sali muzealnej rozpoczął swój piękny odczyt o skraplaniu gazów i najniższych temperaturach od krótkiego zarysu historycznego tego działu badań naukowych, fizycznych, który zajmuje się sprawą przeprowadzania ciał ze zwykłych warunków lotnych w stan płynny, a następnie — w stały.

Począwszy od końca wieku XVIII, kiedy pod ciśnieniem kilku atmosfer zdołano skroplić amoniak, sprawa zgęszczania gazów stała się przedmiotem licznych dociekań i eksperymentów. Obmyślano różne przyrządy, potęgujące ciśnienie, i różne sposoby, sprowadzające obniżenie temperatury, gdyż, jak wiadomo, tylko te dwa czynniki fizyczne, ciśnienie i zimno, działając jednocześnie, są w stanie lotne gazy skroplić w płyn ciekły, i następnie — w ciała stałe. Wymieniając wszystkich tych badaczów, którzy przyczynili się głównie do posunięcia naprzód omawianej sprawy, prelegent zatrzymał się dłużej nad pomysłami i teoretycznemi rozważaniami największych, najbardziej zasłużonych: Faradaya, Kelvina, Picteta, Cailleteta, Thomsona, Olszewskiego, Wróblewskiego i innych. Już w pierwszej połowie XIV w. skroplono wszystkie ciała gazowe, prócz wodoru, tlenu, azotu, metanu, bezwodnika kwasu węglowego (CO_2) i siarczku węgla. Nawet ciśnienie 3,000 atmosfer nie dawało pożądanych rezultatów, a to dlatego, że nie znano przez długi czas t. zw. temperatury krytycznej tych gazów, to jest tej, powyżej której dany gaz przy największem nawet ciśnieniu zachowuje swój stan lotny. W r. 1877 jednocześnie Pictet i Cailletet złożyli Akademii paryskiej swe prace o skroplonym przez nich tlenie. Był to jednak dopiero początek tych ważnych zdobyczy.

Dopiero krakowscy uczeni, Wróblewski i Olszewski, zdołali metodę fizyków francuskich ulepszyć i uzupełnić, tak iż w latach 1882—1883 umiano już otrzymywać tlen w stanie ciekłym w większej ilości przy temperaturze 103, a przy zniżonem ciśnieniu — przy 150. Śmierć zaskoczyła Wróblewskiego przy pracy nad skraplaniem wodoru, jedynego wówczas jeszcze, niezgęszczonego do stanu płynnego, gazu.

Dziś dzięki temu, że skroplony tlen przy zniżonem ciśnieniu daje temperaturę — 210 (praca Witkowskiego) i skroplenie wodoru nie przedstawia żadnych trudności. Ze znanych w naturze ciał jeden tylko tel, niedawno odkryty, nie został jeszcze w płyn zamieniony; a trudności w zadaniu tem są niezwykle wielkie, gdyż tel w atmosferze stanowi zaledwie jedną dziesięciomilionową część jej objętości, w minerałach zaś występuje jeszcze w miejszych dozach, a może być skroplonym dopiero przy 265° poniżej zera.

Wielkie zainteresowanie obudziły doświadczenia, jakich prelegent na katedrze dokonał ze skroplonem powietrzem krakowskiem. Powietrze płynne p. Estreicher

przywiózł ze sobą w sporej (4 litry) kolbie szklanej o podwójnych ścianach.

Żeby ciepło powietrza zewnętrznego (atmosfery) nie udzielało się zawartemu w wewnętrznem naczyniu powietrzu płynnemu, pomiędzy współśrodkowemi kolbami musi być próżnia (powietrze zostaje wypompowane); w ten sposób unika się utraty zimna drogą przewodnictwa. Promieniowaniu zaś zapobiega cienka warstwa srebra, pokrywająca szklanne ściany kolby zewnętrznej (kolba dzięki temu jest nieprzezroczysta). Z 3 kilogramów zabranego przez prelegenta z Krakowa powietrza płynnego, pomimo ostrożności w drodze do Warszawy, ulotniło się 165 gr.

Prelegent zamroził gaz oświetlający, wprowadzając go w zetknięcie z powietrzem płynnem — następnie rtęć, eter i alkohol.

Twarda, zamrożona rtęć wykuwa się w cienką blaszkę, która potem, wrzucona do wody, jak wosk się topi. Kauczukowa rurka, zanurzona na chwilę do ciekłego powietrza, od lekkiego uderzenia młotka jak szkło w kawałki się rozpryskuje. Papieros, „zwilżony" powietrzem, przy dotknięciu do ognia zaczyna płonąć jaskrawym, jak fajerwerk, snopem światła.

Sproszkowany zaś węgiel w tych samych warunkach stanowi mocniejszy, a przytem bezpieczniejszy, niż dynamit, materyał wybuchowy.

Okazane w szklanej epruwetce powietrze ciekłe ma piękny, niebieskawy kolor, tem ciemniejszy, im dłużej na otwartem powietrzu jest trzymane, a to z tego powodu, że sam tlen skroplony jest niebieski, bardziej zaś lotny azot — bezbarwny; azot ulatnia się prędzej, więc koncentrujący się tlen nabiera coraz ciemniejszej barwy, przypominającej kolor nieba.

Niezmiernie efektowne i bardzo umiejętnie robione doświadczenia przykuwały uwagę słuchaczy, mimo to że odczyt trwał prawie dwie godziny.

Próba skroplenia *powietrza warszawskiego* na katedrze odczytowej nie mogła wypaść pomyślnie, gdyż niezbędne do tego powietrze zgęszczone (do 200 atmosfer), zamknięte w odpowiednich rezerwoarach, przy przewożeniu z Krakowa w znacznej ilości ulotniło się.

Uznanie, z jakiem dziękowano hucznymi oklaskami gościowi krakowskiemu za jego odczyt, dowodzi wielkiego zainteresowania się tą niezmiernej doniosłości sprawą skraplania gazów „stałych," którą w znacznym stopniu posunęli naprzód nasi uczeni, Wróblewski, Olszewski i Witkowski.

Pragnący bliżej zapoznać się z dziejami tej sprawy, z wielkim pożytkiem przeczytać mogą w ostatnich numerach *Wszechświata* (1—4 z r. b.) artykuł p. t. „Historya zimna i zera absolutnego."

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

Björnstjerne Björnson.

III.

Björnstjerne Björnson w nowelach i opowiadaniach dał nam najlepiej poznać społeczeństwo norweskie, mające wszelkie dane do wyrobienia się w naród o wysokiej kulturze, ale obecnie jeszcze surowe. W noweli „Ręce matki" przyznaje sam autor, że ci którzy pod względem towarzyskim przewodzą temu małemu narodowi — to nierodowici Norwegowie, lecz przybysze.

Przedziwnie umie Björnson odtwarzać pierwsze zaranie budzącego się uczucia, kiedy miłość podobna jest do ptaka płochliwego lub do czułka, stulającego listki za najlżejszem dotknięciem, chociażby tak lekkiem, jak wiatru muśnięcie. Zwierzanie się, przyjmowanie pośrednictwa — to już dalszy okres. Wniknięcie w te tak nieuchwytne stany psychologiczne, w utworach jego często przedstawiane, dowodzi intuicyi poetyckiej.

Dramat współczesny, poruszający zagadnienia ogólno-ludzkie, jest najprzystępniejszy dla cudzoziemców, chcących się zapoznać z twórczością tego autora. A Björnstjerne Björnson, wychodząc z zasady służenia ojczyznie, uważa sobie za obowiązek w każdej sprawie głos zabrać. Tak powstał cały szereg sztuk tendencyjnych.

W „En Fallit" (Bankructwo) autor daje obraz nizkiego poziomu moralnego, zgnilizny panującej w sferach kupieckich.

„En Hanske" (Rękawiczka) przemawia w sprawie kobiet, wymagających, aby mężczyzni wstępowali w związki małżeńskie, niezbrukani stosunkami poprzednimi.

„Over Evne" (Ponad siły) część I porusza kwestyę, cudownego leczenia. Rzecz tę napisał autor w r. 1883 pod wpływem ogólnego zainteresowania się hypnotyzmem, suggestyą itp. Głęboko wierzący, świątobliwy pastor Sang, posiadający wśród ludu sławę cudotwórcy niemal, uzdrawiającego choroby ciała wpływem, okazuje się bezsilnym wobec cierpień własnej żony. Wie on, że brak wiary w niego stanowi główną przeszkodę, ale tak gorąco pragnie jej wyzdrowienia, że łudzi się, iż może wielka miłość dokaże cudu. Gdy go nadzieja zawiodła, pozostaje mu jeszcze jedyny ratunek — modły. Aby je uczynić gorętszemi wzywa do powrotu dzieci, bawiące w Ameryce, liczy na ich współdziałanie w modlitwie o zdrowie matki. Niestety, na obcej ziemi, pod obcym wpływem, dzieci utraciły wiarę, nie mogą być mu pomocą. Więc on, sam jeden, skupi w sobie wolę ich wszystkich razem i zmoże chorobę!

W najwyższem napięciu,ześrodkowywując na tym jednym celu wszystkie władze duszy, modli się. I cud się staje: żona, która od lat nie opuszczała łoża, wstaje sama i postępuje ku niemu. On w uniesieniu radosnem chwyta ją w ramiona — a ona słania się i wysuwa mu z rąk bez czucia. Zdumiony, nie może pojąć w pierwszej chwili, zwraca wzrok ku niebu i szepce:

„Ależ to nie to — lecz czyżby?... lub czyż — A!"

Zawiedziony, pada martwy u zwłok towarzyszki życia.

Poecie nie chodziło tu o wykazanie bezsilności modłów ludzkich; zasadnicza idea dramatu tkwi w ograniczoności fizycznych sił człowieka, niemogących sprostać duchowym jego władzom. Napięcie woli Sanga było tak wielkie, nerwy były w takiem naprężeniu, iż żadnego silniejszego wrażenia znieść by nie zdołały, cóż dopiero mówić o odporności wycieńczonej chorobą Klary?

Drugą część „Ponad siły" napisał autor w czternaście lat później. Głównemi osobami są tu dzieci Klary i Sanga, Eliasz i Rachela. Syn odziedziczył po ojcu, marzycielu i fanatyku religijnym, usposobienie marzycielskie i fanatyzm, lecz pod wpływem ogólnego prądu zwrócił je w innym kierunku, a mianowicie oddał się całą duszą sprawie społecznej. Rachela ma wiele z trzeźwości matki, nie posiada ona głębokiej wiary brata w słuszność sprawy, lecz oddaje się jej, ponieważ jej do życia konieczną jest praca, działanie. I w tym dramacie plany przerastają siły ludzkie. W „Poul Lange og Thora Parsbeg" (Paweł Lange i Tora Parsberg) uchyla Björnson zasłony matactw dyplomatycznych, oparłszy sztukę na świeżej jeszcze sprawie, znanej w Norwegii.

Ostatnie dwa dramaty „Laboremus" i „Paa Storhove" (Na Storhove) przeprowadzając wspólne tendencyę, że zła kobieta może zburzyć szczęście jednostki (Laboremus) i rodu całego (Paa Storhove).

Żadna właściwie ze sztuk Björnsona nie jest w całem tego słowa znaczeniu dramatem, nigdzie niema akcyi, niema węzła dramatycznego. W „Rękawiczce" np. cały dramat zasadza się na dyalogach, które prowadzą członkowie rodziny bohaterki, Swawy, z nią samą, chcąc jej przemówić do rozumu i skłonić ją do przyjęcia tego, co uważają sami za zwykły stan rzeczy, a bunt przeciw temu jest w ich oczach równoznaczny z wyrzeczeniem się na zawsze szczęścia rodzinnego. Jak wiadomo, bohaterka nie cofa się; ma ona tak górne, tak wzniosłe pojęcie o małżeństwie, że nie chce kalać go w samym zawiązku.

Najważniejsza scena rzucenia Alfowi w twarz rękawiczki nie sprawia wrażenia, jakie chciał wywołać autor. Przy całem współczuciu dla biednej, rzeczywiście zrozpaczonej dziewczyny, naiwnie tragiczny jej ruch wywołuje uśmiech na ustach widza; bez tego symbolu mogła była Swawa wyrazić narzeczonemu swą wzgardę. Wzruszającą szczerze jest scena, gdy młoda, gwałtowna bohaterka utworu wyrzuca małoduszność matce, która własnym przykładem usiłuje skłonić ją do ustępstwa, gdyż tolerowała pokątne stosunki ojca. Upokarza ją pani Rus słowami: „A jeżeli ja znosiłam to wszystko jedynie przez wzgląd na ciebie, dziecko?" Ale nie poddaje się mimo to ona, nie ma jeszcze żadnych obowiązków, więc chociaż wie, że cierpieć będzie, zanim wydrze miłość z serca, zrywa stanowczo z narzeczonem.

W „Leonardzie" właściwym dramatem byłaby walka wewnętrzna bohaterki między miłością, po latach zaparcia się i pracy uśmiechającą się jej rozkoszą, jakiej pożąda młode jej serce, a obowiązkiem wobec wychowanicy, której zabrała serce Hagbarta. Autor jednak uważa za punkt kulminacyjny starcie między obłudnym, trzymającym się na pozorach konwenansem, którego przedstawicielem jest biskup, a uczciwem, prawdę tylko uznającem zachowaniem się bohaterki. Wynik rozprawy zwykły — każda strona pozostaje przy swojem.

Pod względem kompozycyi najlepsze są dwie ostatnie sztuki, ale i tu rozwiązanie nie wypływa z samej akcyi, lecz pochodzi z zewnątrz, sprowadza ją *deus ex machina* — dr. Kann.

Björnson ma dyalog świetny, niezmiernie żywy i, co zupełnie słusznie podnosi znawca literatur skandynawskich, Maurice Bigeon, naturalny, wywierający wrażenie zwykłej, codziennej rozmowy. Każdy wyraz niemal jest tam potrzebny, ponieważ charakteryzuje daną osobę.

Postaci, przedstawione w dramatach Björnstjerna Björnsona, żyją własnem życiem indywidualnem. A zebrał się ich zastęp spory, zwłaszcza kobiecych. Są między niemi naiwne dziewczątka, umiejące gorąco kochać i równie gorąco nienawidzić, jak Agata w „Leonardzie," i ciche, słodkie, gotowe do poświęceń, jak Cecylia w „Na Storhove." Są prawe, egzaltowane, ale w egzaltacyi swojej ujmujące za serce, jak Swawa z „Rękawiczki," to znów rozsądne, praktyczne, znające życie, jak Borgny w „Laboremus."

Björnson stawia kobietę bardzo wysoko pod względem intelektualnym i moralnym. Obok prawdziwych kapłanek ogniska domowego, przedstawia jednostki równe mężczyznie umysłem, a przewyższające go często charakterem. Taką np. jest Leonarda. Zarówno mąż jej, lekkoduch, bon vivant, jak Hagbart, potulny zamknięty w sobie młodziec, pozostają pod urokiem jej hartownego, silnego ducha. Podobnież

i Tora Parsberg siłą woli przewyższa ukochanego Pawła, słabego nerwowca, dającego się łatwo powodować.

Björnson jest bystrym obserwatorem życia; słabostki i śmieszności ludzkie umie dobrze podwychwycić. Wyborna jest np. scena w „Leonardzie,“ gdy do biskupa przyszła w odwiedziny para małżeńska, chcąc się dowiedzieć czegoś o związku Hagbartą z Agatą, jak również i o tem, czy biskup ma zamiar utrzymywać stosunki z opiekunką a zarazem ciotką narzeczonej, Leonardą. Po otrzymaniu upragnionych wiadomości pilno im ruszyć z niemi w świat i podać je dalej, gdy zjawia się ta, o której mówiono właśnie. Następuje zamieszanie. Oboje mieliby ochotę zostać, więc kręcą się, niby szukając czegoś, i w ten sposób małżonka obchodzi cały pokój w poszukiwaniu parasolki, którą już ma w ręku.

Uogólniając wrażenia, odniesione z przestudyowania dzieł Björnstjerna Björnsona, dochodzimy do przekonania, że wielkie imię zawdzięcza on głównie ideom i zasadom, wyrażonym w utworach z jednym wzniosłym celem przed oczyma — wychowanie swojego społeczeństwa. To też Norwegia wie, czemu go czci, jako największego swojego męża; bez niego nie byłaby pod wielu względami tem, czem jest obecnie.

Józefa Klemensiewiczowa.

ZE SZTUKI.

Druga wystawa jednobarwna warsz. Tow. artystycznego w Salonie Krywulta.

Co to jest wystawa jednobarwna i czy jest jakaś racya urządzania takich wystaw?

Jak sama nazwa wskazuje, prace, tworzące taką wystawę, muszą być wykonane jedną barwą. Zdarza się jednak, że np. krajobraz, zrobiony samym węglem, zawiera rąbek zachodniego nieba, zlekka zaróżowiony, albo na niebieskawym papierze rysunek jest wykonany węglem i białą kredą. Właściwie więc mówiąc, użyto tu aż trzech barw, jednak prace te zaliczane są do jednobarwnych, bo przy ich wykonaniu nie posiłkowano się wszystkiemi barwami, jakie dane przedmioty posiadają w naturze. Materyał użyty nie gra tu żadnej roli, można więc się spotkać z pracami olejnemi, gwaszowemi, akwarelowemi, choć zwykle wystawa taka gromadzi dzieła, wykonane węglem, piórkiem, tuszem, gwaszem czarnym i białym, bo są to środki najdogodniejsze w technice jednobarwnej.

Użyteczność tego rodzaju wystaw jest taka sama, jak wogóle wszelkiego gromadzenia dzieł jednorodnych, dającego pełniejsze pojęcie o pewnej gałęzi sztuki. Najlepszy rysunek ginie w powodzi obrazów olejnych, które go zagłuszają zarówno swoją barwnością, jak i rozmiarami. Im bardziej sztuka się rozwija, im obfitszą jest produkcya artystyczna, tem konieczniejszemi stają się wystawy specyalne, bądź pojedynczych artystów, dające pojęcie o twórczości indywidualnej, bądź zbiorowe pewnych gałęzi sztuki, jak: wystawy akwarelistów, pastelistów, miniatur, graficzne itp. W ten sposób nie giną dzieła, godne uwagi, w chaosie i pstrociźnie wielkiej wystawy, a publiczność się kształci, odróżniając poszczególne gałęzie twórczości artystycznej.

Choć wystawa jednobarwna nie zgromadziła wszystkich artystów, pracujących w tym kierunku, i nie widzimy tam tak popularnych nazwisk, jak Piotra Stachiewicza, Antoniego Kamieńskiego i kilku innych, to jednak jest ona bardzo interesująca, a zrobiłaby jeszcze lepsze wrażenie, gdyby usunąć kilkanaście rzeczy słabszych, wepchniętych na nią widocznie z tytułu koleżeństwa. Niechęci jednak i protekcye znajdą wyraz na każdej wystawie, póki sędziami będą zwyczajni śmiertelnicy, nie bogowie.

Tygodnik Ilustrowany przeznaczył 100 rb. za prawo reprodukcyi tego rysunku, który sędziowie uznają za najlepszy. Wybór padł na kompozycyę Deskura z cyklu do „Bajek z tysiąca jednej nocy“. Rzeczywiście Deskur zwraca ogólną uwagę na wystawie Jednobarwnej, i dlatego zatrzymamy się dłużej nad jego twórczością. Znaczną część jednej sali zajął właśnie ów cykl wspomniany, oraz drugi, p. t. „Wojna.“

Stojąc przed temi pracami, widz jest po prostu przygnieciony tą niebywałą mieszaniną stron doskonałych i zupełnie nieudolnych. Dwie rzeczy przedewszystkiem cechują Deskura: w komponowaniu oryginalność i pomysłowość, a w technicznem wykonaniu—niezmierna sumienność i pracowitość. Zdawałoby się, że przy tych dwóch przymiotach powinny wychodzić z pod ręki artysty same arcydzieła. Tymczasem obu im brak tego, bez czego najlepsze wysiłki marnują się w znacznej części, a mianowicie równowagi, nadającej kompozycyi nierozerwalną całość i podporządkowania szczegółów podrzędnych najważniejszym. W technice Deskura czuje się jakieś niedouczenie, niepozwalające pokonać wielu trudności. Zdawałoby się, że mamy przed sobą długoletniego rysownika litograficznego, przyzwyczajonego do niesłychanie czystej i starannej roboty zakładowej, przy etykietach, mapach itp., który wykonywa figlasy kaligraficzne lub ornamentacyjne z idealną dokładnością, ale przy rysowaniu figur ludzkich, nie może sobie dać rady, tworząc postacie banalne, blaszane, bez natury i prawdy.

Że w ilustracyach do „Tysiąca i jednej nocy“ bardzo bogata architektura indyjska przygniata zupełnie i zaciera główną treść, o to jeszcze mniejsza, bo to wypływa niejako z treści owych „bajek“, ale to gorsza, że ona o tyle doskonalej jest opracowana od postaci ludzkich, iż te ostatnie szpecą niemal wspaniałe wnętrza pałacowe, zamiast je wypełniać i ożywiać. Większość artystów przy pomocy żywych modeli wykonałaby lepiej figury, a miałaby więcej kłopotu z przepychem architektury i haftów wschodnich, z oddaniem wiernem słoniów, tygrysów i wogóle całej fauny i flory podzwrotnikowej. U Deskura wręcz przeciwnie: nie opuszcza najdrobniejszego szczególiku architektury indyjskiej, przeładowanej mnóstwem ozdób ornamentacyjnych, pełnych fantazyi nieokiełznanej i bogactwa, nie obawia się postawić na pierwszym planie wspaniałej pary tygrysów, pysznych w ruchach i charakterze, a wykonanych piórkiem z benedyktyńską cierpliwością i wprawą, a tymczasem tuż obok daje szereg postaci ludzkich o twarzach nieudolnie wykonanych, raz twardych, jak blacha, to znów jakby przez szablon wyciętych, bez najmniejszego charakteru, z mnóstwem podstawowych błędów anatomicznych, zdradzających robotę pamięciową: jednem słowem, całkiem dyletanckich.

Chcąc być bezstronnym, trzeba przyznać że w „Królu Indyjskim, powracającym z Królem wysp Czarnych“ głowy tych Królów mają wyjątkowo jakiś charakter i wyraz dobrze uchwycony. „W Królu, wycinającym swój harem“, odtworzono wspaniale wnętrze bogatej sali. Nagie ciała zabitych mają względnie trochę więcej natury i miękkości, ale główny bohater kompozycyi jest niemal zupełnie niedostrzegalny, tak jego płaszcz, suto haftowany, łączy się z ozdobami ścian sali, a pod tem ubraniem trudno się nawet domyślić postaci ludzkiej.

Kartony do „Tysiąca i jednej nocy“ są niezaprzeczenie ciekawe i oryginalne, i dlatego poddaliśmy je tak drobiazgowej analizie. Stoimy wobec twórczości bardzo odrębnej i odmiennej od tego wszystkiego, co się przez szersze wystawy przesuwa. I zjawia się niepewność i wahanie, połączone z obawą wydania błędnego i niesprawiedliwego sądu, o który łatwiej w sztuce, niż gdzieindziej. Stawiamy więc sobie pytanie: kogo mamy przed sobą: artystę wielkiej oryginalności i talentu, czy tylko zręcznego i pracowitego kompilatora? Boć ten istny potop szczególików architektury staro-indyjskiej można czerpać z mnóstwa fotografij i bogatych wydawnictw zagranicznych. W każdem wielkiem mieście Europy są osobne sklepy z fotografiami wszelkich zabytków sztuki i architektury, z fotografiami z natury najrozmaitszych zwierząt, ras ludzkich, krajobrazów egzotycznych, i to wszystko można mieć każdej chwili za dostępną cenę. Nie można jednak nabyć kompozycyjnej całości i składających ją pojedyńczych figur z właściwym ruchem i wyrazem. To więc musi być zawsze własnością artysty.

Porównajmy teraz dwa kartony Deskura. Jeden, według nas, jest najlepszym z całej jego wystawy: to z cyklu „Wojna“ „Grobowiec zwycięzcy“, drugi zaś stanowczo najgorszy: to „Powódź“, do żadnego cyklu nie wchodząca. Pierwszy nie zaciekawia może tak ogółu, jak „Bajka z tysiąca i jednej nocy“, ale to wina otoczenia, mniej dla nas fantastycznego. Za tło służą wspaniałe mury świątyni gotyckiej. Na pierwszym planie wznosi się poważny pomnik kamienny jakiegoś bohatera, który, widać, zapisał swe imię w historyi ludzkości krwawemi zgłoskami. Mamy przed sobą jego portret kamienny, jakim był za życia. Artysta dał nam dobrze scharakteryzowany typ człowieka o instynktach nizkich, brutalnych, który bez względu na środki idzie do celów, mając za jedyne prawo swój miecz i siłę. Depcząc bezwzględnie tych, co mu zawadzali na drodze, doczekał się wspaniałego pomnika, obwieszonego zdobytymi sztandarami. I dziś, w dzień Zaduszek, nadlatują z przestworza duchy, które gniótł i deptał i w orszaku szalonym złorzeczą tej zimnej, kamiennej postaci, wspierającej się na mieczu z uporem i obojętnością. Tylko jeden duch ujmuje się za nim i zasłania go przed napaścią: to Geniusz jego sławy. Artysta umiał tu w bardzo zręczny sposób przeprowadzić swą myśl, nie wypowiadając ostatniego słowa i pozostawiając widza niepewnym wyniku walki tych duchów, co stanowczo podnosi nastrój dramatyczny. Wykonanie postaci ludzkich jest również najlepszem ze wszystkich kartonów Deskura, choć i tu charakterystyka lotnych duchów stoi na drugim planie, a dramatyczność leży nie w wyrazie samych postaci, ale w ich zestawieniu symbolicznem. Wnętrze katedry gotyckiej i sam pomnik wykonane są doskonale, a postać bohatera nawet z dużym realizmem.

Jakżeż odmienna jest wzmiankowana „Powódź“. Zdawałoby się, że artysta, lubiący tak sumiennie opracowywać tematy z dalekiego Wschodu, tu, mając treść zaczerpniętą z codziennego niemal życia, dającego się obserwować bezpośrednio, okaże się nierównie silniejszym, a tymczasem cała ta kompozycya jest nietylko zwykłym oklepanym szablonem, widywanym rok rocznie na równi z alegorycznym „Nowym Rokiem“, zjawiającym się z urzędu w pierwszych numerach różnych tygodników, ale nadto wykonana jest nad wyraz nieudolnie, przy nieopuszczającej nigdy Deskura pracowitości wykończenia. O ile jednak pracowitość ta może zainteresować w utworach dobrych i udanych, to w tak

nieudolnych, jak „Powódź“, wprost irytuje. Tyle pracy i z takim rezultatem! Jak mógł artysta z taką uporczywością „wypiłowywać“ kreska po kresce takie twarze krzywe, blaszane, bez szczerości wyrazu! taką wodę! taki krajobraz!?

Prace Deskura zainteresowały wszystkich swą odrębnością i wywołały tysiące krzyżujących się opinij, więc poświęciliśmy im znaczną część sprawozdania, teraz należy czekać na nowe dowody twórczości artysty, które może rozproszą dzisiejsze nasze wątpliwości i zarzuty, a potwierdzą pochwały.

Teraz już tylko w krótkości możemy zrobić przegląd reszty wystawy. Niczem ona wyjątkowem nie uderza, ale zgromadziła sporo prac bardzo dobrych i ciekawych.

Kazimierz Wasilkowski dał trzy ilustracye do „Rokity“ Niemojewskiego. Kompozycye swobodne i traktowane z dużym rozmachem! Dobre studya głów lub portrety dali: Bisier, Gorewoda, Gay-Holewińska, Tański i inni.

Wyborne rysunki piórkowe szczeniaków i niedźwiadków dał Wejssenhoff. Jadwigi Malinowskiej portrecik psa ma dużo charakteru, a konie i typy jarmarczne Siestrzeńcewicza, choć już się nam zbyt opatrzyły, zawsze jednak są pełne życia i brawury. Tański, Pilatti, Ryszkiewicz, Jan Holewiński, Piątkowski i Sawiczewski dali udatne ilustracye. Ten ostatni w „Niedzieli na Litwie“ przedstawił dobrą scenę rodzajową na tle ciekawego wnętrza chaty litewskiej.

Rysuneczki ołówkowe Zygmunta Badowskiego są bardzo interesujące. Władysław Jasieński dał z dużą prawdą wykonany widok wsi w zimie, a Ziomek, Lindeman i Arrasz dobre krajobrazy.

Szereg zdobników (winiet) Tadeusza Noskowskiego jest pełen dobrego smaku i oryginalności. Konstanty Górski wystąpił z cyklem ilustracyj do *Quo Vadis* Sienkiewicza. Nie zaprzeczając im pewnych zalet, trzeba przyznać, że są też często zbyt szablonowo pojęte. „Chilo, oskarżający Nerona,“ nie ma wcale tej potęgi, do jakiej w owej chwili wyrósł, jako uosobienie Sprawiedliwości. *Quo vadis Domine* jest zupełnie chybione. „Śmierć Nerona“, gdyby nie podpis, niczemby treści nie zdradzała, i możnaby było sądzić, że to zwyczajny bezimienny jakiś opilec, który leży w pierwszym kącie, aż do wytrzeźwienia. W „Uczcie u Nerona“ też trudno się uczty domyślić. „Walka Ursusa z turem“ jest bodaj najlepszą pracą: walczący dobrze pojęci i wykonani.

Z jakiej racyi na tej wystawie zjawiły się akwaforty i akwatinty Zofii Stankiewiczówny, trudno dociec. Nietylko bowiem jednobarwność wystawy jest wymaganą, ale i wykonanie bezwzględnie ręczne. Akwaforty tymczasem, mogąc być dziełami bardzo artystycznemi i cennemi, należą jednak do działu produkcyj graficznych, dających się odbijać w nieograniczonej liczbie egzemplarzy, tak jak drzeworyty, litografie itp. Tam by na nie było miejsce, i nikt też inny nie wystąpił z tego rodzaju pracami na obecnej wystawie jednobarwnej.

Sierp.

Z RUCHU MUZYCZNEGO.

Obecnie Warszawa weszła w stan niebezpiecznego podniecenia muzycznego, została wprost oszołomiona napływem coraz słynniejszych artystów wędrownych, którym oddaje się niemal cześć bałwochwalczą za wyrzucone ze swobodą górne C lub za łamańce palcowe, niemające ze sztuką prawdziwą nic wspólnego. Warto rzeczywiście przyjrzeć się zbliska temu niezdrowemu roznamiętnieniu warszawiaków, a szczególnie warszawianek.

Wypełniamy sale teatralne lub koncertowe wtedy tylko, gdy spodziewamy się ujrzeć jakąś nadzwyczajność; widowiska, nieustępujące poprzednim pod względem artystycznym, nie mają zwolenników. Nasze natury artystyczne uważają sobie za ubliżenie słuchać oper, śpiewanych po polsku. Gdy chodzi o śpiewaków zagranicznych, sale teatralne i koncertowe są wypełnione po brzegi. Na muzyce wogóle znamy się bardzo mało, natomiast jesteśmy w sposób niezwykły roznamiętniani do niej przez prasę codzienną, która występy artystów uważa za doniosłe wypadki chwili i o najmarniejszym muzyku rozpisuje się obszerniej, niż o najlepszej książce naukowej.

Zresztą nie można się dziwić naszej niemuzykalności: początki muzyki, jakie otrzymuje nasza młodzież, są pobieżne, celem ich nie podniosłe wrażenia, lecz chęć błyszczenia w towarzystwie; stąd pochodzi nasz dyletantyzm muzyczny i brak wszelkiego krytycyzmu, stąd również małe zamiłowanie do muzyki zbiorowej: daleko trudniej jest zebrać czterech do kwartetu, niż czterech do winta. Z pośród tysiąca słuchaczów gry lub śpiewu artystycznego, zaledwie drobna część odczuwa stronę duchową tej sztuki; większość zwraca wyłącznie uwagę na stronę techniczną, na same nadzwyczajności palcowe, a sporo jest takich, którzy nudzą się śmiertelnie, a mimo to chodzą na modne występy przereklamowanych wirtuozów. A takich mieliśmy wielu w sezonie bieżącym. Na pierwszym planie postawić należy pianistę, Maurycego Rosenthala, i skrzypka, Jana Kubelika. Rosenthal, jako technik brawurowy, nie ma sobie równego, jako artysta — zajmuje stanowisko drugorzędne; umie jednak wśród niewykształconej muzycznie publiczności wywoływać szmery zachwytu i uwielbienia. O wiele wyżej stoi pod względem artystycznym Kubelik, ma on coś, co niekiedy chwyta za serce, lecz ta poezya gry jego znajduje się zwykle na drugim planie wobec niesłychanych łamańców palcowych, które przykuwają uwagę publiczności. Gdyby Kubelik nie miał sławy współczesnego Paganiniego, grałby niewątpliwie z większem czuciem.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w ciągu trzech dni słyszeliśmy Barcewicza i Kubelika; Barcewicz nie ma tak nadzwyczajnej techniki, ale nie posiada też i tak sprytnego impresaria, natomiast pochwalić się może czemś więcej: wielkim i rzewnym tonem, w czem nie dorówna mu ani Kubelik, ani żaden ze współczesnych mistrzów skrzypiec.

Prócz powyższych grało nam w ciągu kilku ostatnich miesięcy r. z. wielu pierwszorzędnych artystów europejskich. Koncertów mamy obecnie w Filharmonii niemal tyle, ile wieczorów. Na koncertach słyszeliśmy Józefa Hofmana, Eugeniusza Ysaye'go, d'Alberta, Bandrowskiego, Barcewicza, Kubelika, słowem tych wszystkich, których świat podziwia. Możnaby zrobić Filharmonii zarzut, że sprowadza zbyt wielu artystów obcych, że należałoby więcej korzystać z sił miejscowych, układać programy według pewnego systemu i tą drogą kształcić i wyrabiać smak artystyczny. Być może jednak, że nasza publiczność na najlepiej zorganizowane koncerty nie uczęszczałaby wcale, gdyby tylko odrzucono magnesy w postaci modnych śpiewaczek. Prócz koncertów symfonicznych, mamy t. zw. filharmonijne, nadzwyczajne, kameralne, popularne, dziecinne, humorystyczne, oraz specyalne, poświęcone pewnym kierunkom w muzyce, lub też wybitniejszym kompozytorom. Zrobiono wszystko, aby tylko zainteresować i zachęcić publiczność do jak najczęstszego bywania w Filharmonii. Koncerty symfoniczne niewiele różnią się od wieczorów filharmonicznych: chyba tylko wysokiemi cenami i występem nietyle wielkich, ile raczej modnych wirtuozów. Prócz wymienionych już, z wybitniejszych słyszeliśmy następujących artystów. Skrzypkowie: Ondricek, Geloso, Thomson, Ten Have; fortepianiści: Grünfeld, Stojowski, Lhévinne, Miecio Horszowski; śpiew: Heller-Olszewska, Bellincioni i w. in.

Wśród t. zw. cudownych dzieci na szczególną uwagę zasługiwał Miecio Horszowski, który, być może, wyrośnie na niepospolitego artystę, jeżeli tylko przestanie koncertować i będzie rozwijać swój talent prawidłowo. Przy obecnej eksploatacyi malca niewiele po nim można się spodziewać w przyszłości.

Urok.

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

Pod koniec roku ubiegłego polepszyły się znacznie warunki rynku pracy w Niemczech, czego niestety o innych krajach w Europie powiedzieć nie można. W Anglii grudzień był najgorszym miesiącem z całego roku. Ilość pozbawionych zajęcia, która w listopadzie wynosiła 4,8%, w grudniu podniosła się do 5,5%, przewyższając cyfrę z tego miesiąca 1901 r. o 0,9%. W przemyśle metalowym i maszynowym nieznajdujący pracy stanowią 6,2; przy budowie okrętów 11,7%. Ważnem bardzo w tej sprawie i znamiennem jest zachowanie się właścicieli kopalń w Yorkshire. Tam już od połowy lipca część górników przestała pracować. A od stycznia 500 rodzinom wymówiono mieszkanie w domach, należących do właścicieli kopalń. We Francyi położenie rynku pracy jest cokolwiek lepsze, niż w Anglii. Lecz i tu także w grudniu 1902 r. ilość pozbawionych zajęcia wśród zorganizowanych w związki była większa, niż w poprzednim roku o tej porze, w stosunku 11 do 10%. Z wielkiem zadowoleniem przyjęli robotnicy wprowadzenie ośmiogodzinnego dnia roboczego do rządowych zakładów okrętowych, w nadziei, że i prywatne za tym przykładem wkrótce pójdą. W Austro-Węgrzech grudzień przyniósł nowe ograniczenie w sferze pracy i dalsze powiększenie liczby pozbawionych zajęcia. W samym Wiedniu ilość ich wynosiła w początkach stycznia 50,000. Szczególnie niepomyślny pod tym względem jest stan rzeczy w fabrykach wagonów. Można jednak mieć nadzieję polepszenia, gdyż ministeryum kolei żelaznych zamierza ponoczynić zamówienia na 6,3 milionów koron. Z takim niepokojem oczekiwane pogorszenie na rynku pracy Stanów Zjednoczonych nie nastąpiło jakoś dotąd, choć ożywienie jest też słabsze, niż w miesiącach letnich. W przemyśle żelaznym zapotrzebowania utrzymują się w dawnej sile tak dalece, że tem, co jest już wyprodukowane, pokryć ich w żaden sposób nie można. Ograniczenie zajęcia w stalowniach, walcowniach itd. jest w każdym razie przemijające. W kopalniach roboty idą w całej pełni, zapotrzebowania są wielkie.

KRONIKA.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pozwól mi za pomocą Twego pisma wyrazić moje serdeczne podziękowanie Tym Wszystkim, zdala od Warszawy mieszkającym, którzy z powodu mej skromnej, 25-letniej pracy przesłali mi bądź listownie, bądź też telegraficznie, wyrazy życzliwości i uznania. Muszę tu, obok mych stron rodzinnych, Lublina

i Szczebrzeszyna, oraz szerokiego udziału młodzieży postępowej z różnych części kraju i zagranicy, podnieść z żywą wdzięcznością bardzo liczny i serdeczny udział mieszkańców Łodzi.

Będę mocno obowiązany tym pismom, które zechcą to moje podziękowanie powtórzyć.

Wocław Nałkowski.

Wiadomości społeczne. W *Gaz. Polskiej* czytamy: „W sprawie zapisu Sterna na rzecz warszawskiego Towarzystwa dobroczynności dowiadujemy się, że wobec uwag o tym zapisie, jakie się zjawiły w niektórych organach prasy, prezes Towarzystwa, książę M. Radziwiłł, zwrócił się do JE. Arcybiskupa Popiela z zapytaniem, czy zapis ten zawiera w sobie co przeciwnego moralności chrześciańskiej. W tych dniach nadeszła odpowiedź ks. Arcybiskupa, orzekająca, iż zapis Sterna nie ma w sobie nic przeciwnego moralności chrześciańskiej. Wobec tego Towarzystwo zapis Sterna w całości przyjmie.“ Przypomnieć tu musimy, że J. J. Stern cały swój majątek przeznaczył testamentem na użytek społeczny, między innymi 200,000 rb. dla Towarzystwa dobroczynności, zastrzegając przy wszystkich pozycyach, ażeby zapomogi, wsparcia i stypendya rozdzielane były w połowie między katolików i żydów. Wyraził również w ostatniej swej woli życzenie, ażeby na nagrobku pomieszczony był napis tylko w języku polskim: Jan Joachim Stern.

— Na kasę rządową w m. Poti, na Kaukazie, 7 rozbójników napadło w biały dzień; obezwładniwszy kasyera, szybkością i stanowczością postępowania oszołomiwszy obecną publiczność, pieniądze zabrali i uciekli. Pochwycić ich nie zdołano.

— Trybunał karny we Lwowie skazał kilkunastu włościan, oskarżonych o gwałty podczas strajków rolnych w Galicyi Wschodniej, na więzienie od 7 dni do 3 miesięcy.

— Czytelnia akademicka w Krakowie ogłosiła odezwę, wzywająca do składek na wykupienie domu Adama Mickiewicza w Konstantynopolu. Dom ma przejść wkrótce w inne ręce, gdyż dzisiejszy właściciel nie jest w stanie dalej go utrzymać.

— Delbrück skazany został przez sąd berliński na 300 m. kary lub 30 dni aresztu za artykuł przeciw hakatyzmowi, umieszczony w *Preus. Jahrbücher.*

— Zatwierdzoną została ustawa Towarzystwa dobroczynności w Turku.

Szkoły i wychowanie. Wydział fizyczno-matematyczny uchwalił, że studenci III kursu oddziału matematycznego, którzy pragną w roku 1903—1904 ubiegać się o stypendya im. Kopernika, obowiązani będą, prócz postępów celujących, poświadczonych na egzaminach przejściowych, przedstawić prace piśmienne na temat wybrany przez wydział. Studenci, zamierzający ubiegać się o powyższe stypendya, powinni przed początkiem II półrocza bież. roku akademickiego zawiadomić o tem profesora, z którego przedmiotu mają zamiar pisać pracę. Prośby składane być winny bezpośrednio do wydziału fizyczno-matematycznego.

— Wydział filologiczny uniwersytetu warszawskiego zatwierdził następujące tematy dla prac konkursowych w r. b.: „Kant i późniejsza teorya świadomości,“ „Polityka ekonomiczna Fryderyka Wilhelma I, króla pruskiego,“ oraz „L. F. Czelakowski, jego życie i prace naukowo-literackie.“

— Szkoła nauk politycznych, założona przed kilku miesiącami we Lwowie, rozpoczyna dnia 1 lutego r. b. kurs drugi, na którym będą wykładane: Kwestya agrarna (prof. Rozwadowski); Przemysł i handel w Galicyi (dr. Stesłowicz, dr. Steczkowski, L. Baczewski i M. Małczyński), O emigracyi i kolonizacyi (prof. uniw. Buzek), Kwestya socyalna i socyalizm (Wł. Studnicki), Statystyka ludności (dr. Zbigniew Pazdro), Geografia (dr. Eugeniusz Remer).

— Kolegium szkolne w Berlinie zabroniło urządzania kursów nauki języka polskiego dla dorosłych, grożąc karą 10) m. lub 10-dniowym aresztem w razie nieposłuszeństwa zakazowi.

Z Poznańskiego. Pisma poznańskie podają następującą kopię okólnika, wystosowanego do nauczyciela z okolicy Krotoszyna: „Pan landrat doniósł mi, że pan jesteś członkiem tutejszego Banku ludowego. Według rozporządzenia regencyi królewskiej z r. 1887, polskie Towarzystwa pożyczkowe należą do towarzystw, wrogich niemczyźnie. Zechciej pan przeto jak najspieszniej wystąpić z Towarzystwa, zwolnić się ze swoich zobowiązań i zaraz mi o tem donieść. Podp. *Dr. Schlegel.*“ Przypuszczać należy, że i inni nauczyciele otrzymali to samo polecenie, gdyż wszyscy wycofali się z Banku.

Literatura i prasa. *Przegląd bibliograficzny*, zawieszony od śmierci prof. Wisłockiego, zaczął wychodzić nanowo w Krakowie pod redakcyą prof. dr. Kornelego Hecka.

— Senat hamburski postanowił wypłacać dożywotnią pensyę w sumie 3,000 marek rocznie niemieckiemu poecie lirycznemu, Gustawowi Falckowi.

Wiadomości naukowe. D. 21 do 28 lutego r. b. w Instytucie górniczym w Petersburgu odbędzie się pierwszy zjazd działaczów na polu geologii praktycznej i poszukiwań w ziemi. Składkę członków zjazdu oznaczono na rb. 10, z prawem otrzymania „Prac“ — rb. 15.

Ze sztuki. Z powodu nadesłania jednego tylko wzoru na konkurs projektów ubrania męzkiego w charakterze swojskim, Towarzystwo artystyczne w Warszawie postanowiło przedłużyć termin ostateczny do 15 marca r. b.

— Rada Akademii sztuk pięknych postanowiła przyjmować kobiety na oddział architektoniczny na prawach mężczyzn, jako wolne słuchaczki. (*Now. Wr.*).

— Torzystwa dobroczynności, chrześciańskie i żydowskie, w Łodzi postanowiły urządzić wystawę sztuki stosowanej, malarstwa i rzeźby, w połączeniu z krakowską wystawą „okrężną.“ Dochód stąd osiągnięty przeznaczony będzie na pokrycie deficytu tych instytucyj.

— Rozstrzygnięty został ogłoszony przez Tow. tatrzańskie konkurs na projekt hotelu przy Morskiem Oku. Pierwszą nagrodę otrzymał, p. Fr. Mączyński z Paryża, drugą p. Marceli Pilecki z Przemyśla, trzecią rozdzielono pomiędzy pp. M Łużyckiego ze Lwowa i Eug. Wesołowskiego z Zakopanego.

— W Petersburgu otworzoną została wystawa obrazów malarzy francuskich, na której zgromadzono około 400 prac.

Sprawy ekonomiczne. Według ogłoszonego sprawozdania urzędowego, w Królestwie Polskiem w roku ubiegłym było czynnych 20 towarzystw wzajemnego kredytu, 12 miejskich kredytowych, 4 prywatne banki handlowe, 23 towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowe, 6 kas pożyczkowo - oszczędnościowych, 3 przedsiebiorstwa ubezpieczeń i 5 akcyjnych przedsiebiorstw kolejek wązkotorowych.

— Urzędy cechowe w Petersburgu wystąpiły z podaniem o zabezpieczenie przed współzawodnictwem wytworzonem przez warsztaty więzienne.

— Ministeryum rolnictwa zatwierdziło przepisy o przeprowadzaniu urządzeń melioracyjnych na gruntach obcych.

— Gazeta *Wołyń* donosi, że w gub. Wołyńskiej zanosi się na masową emigracyę kolonistów - Niemców. Około 2,000 rodzin zamierza opuścić z wiosną ziemię, dzierżawioną w powiatach: Owruckim, Nowogrodzko-Wołyńskim i Żytomierskim i przenieść się do Ks. Poznańskiego, gdzie komisya kolonizacyjna obiecuje im sprzedać ziemię na bardzo dogodnych warunkach.

— Powstał projekt założenia w Petersburgu muzeum rolnictwa wszystkich krajów i narodów.

Koleje i komunikacye. Ministeryum komunikacyj wydało rozporządzenie, aby zarządy kolejowe w sprawach spornych z podróżnymi szczegółowo badały okoliczności ich pretensyj zaraz na miejscu i, wrazie słusznych powodów, sprawę kierowały na drogę polubownego załatwienia. Postępowanie takie ma zapobiedz nadsyłaniu skarg do zarządów centralnych, które nie są w stanie rozstrzygnąć prędko ogromnej ilości podań tego rodzaju.

Zdrowie publiczne. W Durbanie szerzy się dżuma.

Poczta. Zatwierdzony został projekt nowego gmachu pocztowego w Warszawie, którego budowa rozpocznie się w roku bieżącym.

Katastrofy. D. 27 b. m. w Tyflisie dało się uczuć trzęsienie ziemi.

— W Zaleszczykach, w Galicyi, było silne półminutowe trzęsienie ziemi.

Zmarli. Wiktor Szumański, rejent, w Warszawie.
— Henryk Grabiński, artysta-malarz we Lwowie.
— Ignacy Süsser, adwokat i literat, w Krakowie.
— Emanuel Liszka, artysta-malarz, w Pradze.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu P. Mol. Z małego wierszyka o talencie sądzić nie można, lecz nietrudno poznać, że autor języka nie zna gruntownie, co dla poety jest rzeczą przedewszystkiem obowiązującą.

Panu Obniskiemu w Rewlu. Najprościej będzie, jeśli Pan w sprawie pisma zwróci się do księgarni Altenberga we Lwowie. Przyślą informacye i numer okazowy. Co do drugiego pytania na razie nic powiedzieć nie możemy, postaramy się jednak dowiedzieć.

Prenumeratorowi. Czemu się Pan nie zwróci wprost do fejletonisty „Gazety Polskiej“?

Tłomaczkę „Ostryg“ Czechowa prosimy o dopełnienie adresu nazwą ulicy i numeru domu.

P. Szumowskiemu w Zakopanem. Do końca dzieła pozostaje tylko jeden jeszcze zeszyt, który Pan może już nabyć za 40 kop., a koszty przesyłki wynosić będą 15 kop.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 16 Января 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.